

Wies

W NUMERZE:

E. NIZIURSKI — Pierwsze zwycięstwo. I. ERENBURG — Przełom.
R. LUKSEMBURG — „Porządek panuje w Berlinie”. K. LIEBKNECHT — Mimo wszystko!
J. MILLER — Wspomnienia SDKP i L-owców. I. MOZGA — Moje 25 lat błądzenia i walki.
I. CZARNY, E. GONCZARSKI, A. DZEMIL, J. KOPROWSKI — WIERSZE.
Z. WALLICHT — Historia jednej młodości. ST. KRZEMIEN — Notatnik Warszawski.
J. POGAN — Życiorys chłopca — górnika. M. WIELGUS — „Obiektywne trudności”.

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 21. I. 1951 r.

Nr 3 (236)

RYSZARD HŁADKO

NARODZINY EPOKI LENINA — STALINA

Powieść historyczna radzieckiego pisarza Sergiusza Gołubowa pt. „Narodziny epoki” jest wspaniałą, sześciuset stronicową epopeją, na którą złożyła się szczegółowa relacja o stosunkach i atmosferze przedrewolucyjnej, carskiej Rosji, przedstawionych w przekroju ekonomicznym, społecznym — politycznym, militarnym, prawnym, ideologicznym i moralnym. Ukazuje ona przede wszystkim przyływ fali ruchu rewolucyjnego w latach 1912 — 1914 i przygotowania caratu do wojny imperialistycznej.

„Wojna i rewolucja”

„Przystępując do wojny, burżuazja rosyjska spodziewała się, że poprawi swoje interesy: zdobędzie nowe rynki, wzbogaci się na zamówieniach i dostawach wojennych, a zarazem, wykorzystując sytuację wojenną, stłumi ruch rewolucyjny” — mówi „Historia WKP(b)”. Zagadnienie wojny zostało przez Gołubowa ukazane m. in. na tle przełamania się w świadomości ówczesnej oligarchii obszarniczokapitalistycznej nabrzmiałej rewolucyjnej atmosfery lat 1912-14 w Rosji. Przedstawiciele tych sfer zdają sobie dobrze sprawę z tego, że rewolucja jest nieunikniona. „Historia narodu rosyjskiego zbliża się do momentu krytycznego: wojny i rewolucji” — mówi obszarniczy plenipotent włości hr. Tułubiewa rządca Lippe. Jeszcze lepiej ocenia sytuację wywodzący się z tego sa-

chciałbym się zastrzec: autor zwrócił nieco polityczną bazę rewolucji, jaką była partia bolszewicka. Partia to organizacja. Takiej jednak Gołubow wyraźnie nie nakreślił. Przysłaniają ją postacie „wielkich” (rozmiarami roboty politycznej) działaczy partyjnych, jakimi są Aleksy Katasonow, Piotr Markicz, Nogotkow. Położenie wielokrotnego nacisku na organ partii bolszewickiej „Prawdę” i jej ówczesnego redaktora tow. Stalina, występującego w książce pod pseudonimem „wujek Kostia”, nie może zastąpić w pełni samej działalności partii w jej podstawowej masie.

Pomimo tego mankamentu ideowo — konstrukcyjnego, historyczna pozycja i rola mas pracujących przedrewolucyjnej Rosji oraz metody i zakres działania bolszewików, ukazane zostały we właściwych proporcjach i zgodnie z prawdą dziejową. Ich wpływ zaznacza się w każdej dziedzinie: materialnej, politycznej i moralnej.

Na czoło występują tu postacie robotników: Aleksy Katasonowa z Manufaktury Ochotkiej i Nogotkowa, ale „głową polityczną” i organizatorem roboty partyjnej jest w gruncie rzeczy tokarz z Zakładów Metalowych i jednocześnie prezydent partii z robotniczego „Ogniska Wiedzy i Zycia” Piotr Markicz. Ich pozycja klasowa stanowi najlepszą legitymację dla samej partii i jest najsukcesowniejszym orężem walki o jej ideały wśród szerokiego mas. Oto klasowy rodowód jednego z nich, Nogotkova:



W. I. Lenin i J. W. Stalin wg obrazu Wasiliewa (1949)
27 lat temu dn. 21 stycznia 1924 r. zmarł
WIELKI LENIN.

Jego to argumentem o konieczności podporządkowania spraw prywatnych sprawie ogólnej proletariatu, należy zawiązać rozkładanie konfliktów rodzinnych i dziedzicznych. Właśnie o tym, o interesach i politycznych klasy robotniczej spłata się z walką o jej profil moralny.

Praca partii bolszewickiej i jej najlepszych przedstawicieli — oto podstawowa przesłanka rewolucji.

Sojusz robotniczo-chłopski

W rewolucyjnych tradycjach partii bolszewickiej, o których mówi Gołubow, zagadnienie sojuszu robotniczo — chłopskiego było od samego początku jednym z naczelnych zadań. Stanowisko bolszewików w tej sprawie pozostawało w kategoriach przeciwności do liberalno — inteligentkiej „chłopomanii” narodników, z ich pseudosocjalistyczną patriarchalno — tołstojowską „obszecznością”. Jeśli więc Nikita chłopski osadnik hrabiego Tułubiewa, potrafił wyjść z impasu niedorozwoju ideologicznego i od tołstojowskiej fikcji społecznej przejść na pozycję świadomej, klasowej walki o socjalizm, jeśli w końcu powie: „zmiany pójde już teraz na każde niebezpieczeństwo”, to jest to przede wszystkim zasługa członków partii bolszewickiej, którzy pomogli mu przezwyciężyć resztki starego i wejść na właściwą drogę rewolucyjnego działania.

Z kolejnych etapów procesu przemiany ideologicznej Nikity, jako do pewnego stopnia procesów przemian całej wsi rosyjskiej szczególnie wagę zwraca narysowany przez Gołubowa z niezwykłą precyzją i zaskakującą znajomością psychiki chłopca moment środkowy tych przemian kiedy to Nikita działa jeszcze z anarchoistycznym-pseudoradikalnym popędem. „Wszystkie miedze i miedze — myślał (Nikita). — Całe pole pocieć... Ile to ziemi przepada bez użytku na tych miedzach! I po co te ogrodzenia? Gdzie człowiek się ruszy wszędzie grodzą. To moje! Nie rusz! Żyją dzieląc najmniejszą gałązkę... I zaraz: — „A ja właśnie nie będę grodził!”. To „A ja właśnie nie będę grodził!” — stanowi fałszywy wniosek ze słusznego rozumowania. Istotnie: Ni-

kita zdjął z bramy i furtki zasady, powyrzucił ze swojego obejścia wszystkie zamki, otworzył na oścież spichrz, komorę, szope...

Oto mamy: protest ośobniony jednostki wobec masy. Nie ma on nic wspólnego z historyczną koniecznością przebudowy wsi na drodze gospodarki uspołecznionej, a przeciwnie — wyraża jakiś bliżej nieokreślony utopizm agrarny. Jeśli to miała być forma agitacji wśród chłopów, to efekt jej był wprost przeciwny od zamierzonego. Otwierając na oścież bramy swego gospodarstwa, odgrodził się Nikita tym samym od pozostałej reszty wsi nieprzebytą barierą swego ahistorycznego anachronizmu myślowego i osobliwej filozofii swego lewactwa. Na szczęście jednak Nikita dzięki dalszej pracy bolszewików oraz dzięki wpływowi swej matki odchodzi od tych poglądów i wkracza na właściwą drogę. Wtedy już będzie mógł dojść do następującego wniosku: — „Trzeba myśleć o tym jak się pozbyć cara i obszarników. Trzeba przypomnieć piątą rok... W miastach robotnicy znowu zbierają się. Trzeba iść z nimi.” Tak może już myśleć prawdziwy rewolucjonista, który ze swego myślenia umie już wyciągać słuszne wnioski.

Sojusz robotniczo — chłopski i przekształcająca (w sensie światopoglądowym) rola partii bolszewickiej na wsi rosyjskiej — oto dodatkowa przesłanka późniejszej rewolucji.

Partia oczyszcza się w walce

Pierwszy dziesięć lat przed rewolucyjną Rosją charakteryzuje szybkie wyrastanie najróżnorodniejszych kierunków i orientacji politycznych, fantastyczna mozaika rozmaitych kierunków myślowych, które niejednokrotnie drapują się w pseudorewolucyjną tożsamość. Wszystkie one jednak w gruncie rzeczy są ośrodkami politycznej i ideologicznej dywersji burżuazji w łonie ruchu robotniczego. Gołubow pewną ich część zgromadził na bankiecie. Obserwujemy tu ćwierćinteligentki półświatek ograniczonego, drobnomieszczańskiego liberalizmu pseudorewolucyjnego, poznajemy towarzystwo snobów i arystokracji literackiej, ze starym pro-

fesorem Koprowem na czele. Wszyscy oni rozprawiają o radykalizmach religijnych, „metafizycznej absolutyzacji wartości niszczenia”, „materializmie bezwyznaniowym i impresjonizmie politycznym wraz z jego intelektualnym odbiciem światła... w rewolucjonizmie” i smażą się w intelektualnym sosie konwencjonalnych dysput na temat literatury, sztuki, muzyki, zdrad małżeńskich, syfilitizmu, prowadzą jednocześnie „humanitarne” rozmówki o głodujących chłopach wsi Tułubiewki. A wszystko to — jak słusznie zauważa jeden z salono-nych lowelasów literackich według recepty: — „Wziąć trochę z Konfucjusza, trochę z Tołstoja, trochę socjalizmu i homeopatii, zmieszać razem, wstrząsnąć, dodać prymitywnej głupoty i otrzymamy liberalizm rosyjski”. Wszyscy oni, mimo że deklarują „litość” dla chłopów, w gruncie rzeczy panicznie obawiają się rewolucji i to bez względu na te czy inne różnice polityczne. Zdobywcą Gołubowa jest właśnie zdemaskowanie w ich pozor-nych sprzecznościach myślowych jednakowego mechanizmu materialnych interesów.

Obszarnik i carski generał Tułubiew, w procedensie „złębego przykładu” wymiany rozdrobnionych dźwięków chłopskich na dworską ziemię — o co bezskutecznie prosi Nikita — dostrzega sprowokowaną rewolucję. A ileż zaskakującej groteskowości tkwi w postaci liberalizującego szlachcica kapitana Greczki, który z impulsem popędu „uczciwego” inteligenta buduje iluzoroczny program „moralnej” przebudowy ustroju na zasa-

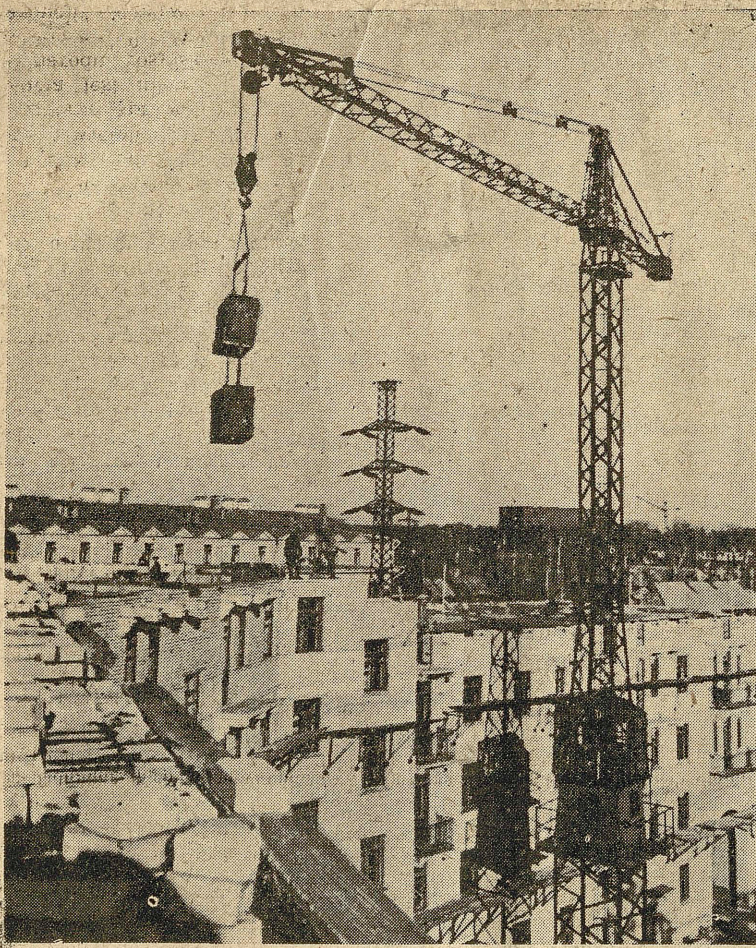
Pisarska metoda realizmu socjalistycznego

Wypada nam jeszcze pokrótce omówić metodę pisarstwa Gołubowa. Jest on pisarzem realistycznym, o głębokiej kulturze artystycznej, który widzi rzeczywistość w jej dialektycznym rozwoju i związkach przyczynowo skutkowych. Nie rozumiejąc się w naturalistycznej drobiazgowości przypadkowych zdarzeń, nie wdając się w wyrafinowane peregrinacje psychologizacyjne — autor, w sposób realistyczny obnaża najbardziej charakterystyczne przejawy klasowej sytuacji, odkrywa procesy gnilne ówczesnych sfer rządzących i ich historyczną funkcję, na tle narastającej fali rewolucji. Jednocześnie w doskonały artystyczny sposób wiąże poszczególne wydarzenia, uzależnia je i uwarunkowuje. W trakcie czytania, po wielokroć razy uderza nas zdumiewająca głębia analizy politycznej i doskonałość artystyczna.

Gołubow unika języka publicystyki. Podstawowe konflikty społeczne epoki wyraża w pryzmacie akcji. Nie mówi o nich, lecz pokazuje je.

Posługuje się w tym celu zdaniami krótkimi, zwartymi, nasłownymi, niekiedy refleksyjnymi wzruszenia. Szczególnie mocno czuje się on w partiach dialogowych. Najświeższe przemawia tam, kiedy rezygnuje z odautorskiego komentarza, kiedy sprawę oddziaływania na czytelnika powierza tokowi akcji.

Spójrzmy wreszcie na tytuł: „Narodziny epoki”. A więc rewolucja? A przecież autor doprowadził opisywane wypadki jedynie do momentu wybuchu pierwszych wojen imperialistycznych 1914 roku. A jednak



Budowa Moskwy. Transportowanie cegły do miejsca przeznaczenia

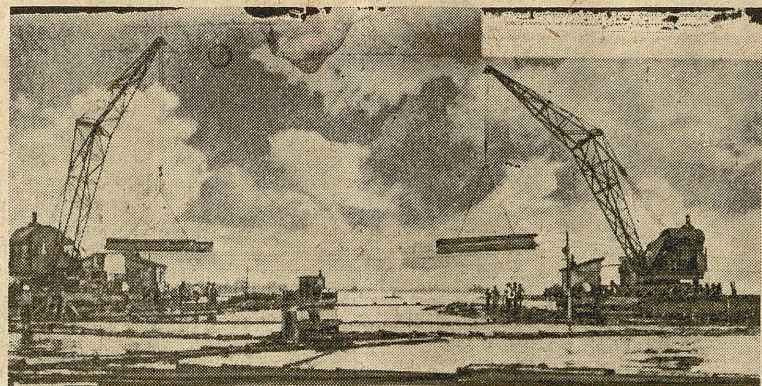
mego środowiska Bolidyrew, który jest zdania, że już niedługo „...usłyszymy odwieczną pieśń chłopów: „Canailles, tu manges mon pain”. („Zjadasz mój chleb, kanałio!”). A więc rewolucja. Chodzi teraz tylko o to, jakby ją zdławić czy odwieść. Można tego dokonać albo przez wojnę, albo — jak proponuje Bolidyrew — przez wprowadzenie reform ustrojowych burżuazji — demokratycznych, wśród których uciśnięcie swą personalną „konkretność” i stałby się „nieuchwytny”. Chłopi przecież nie widząc cara i jego urzędników nie mieliby przeciw komu kierować swych pretensji. Burżuazja rosyjska wybiera wojnę. Gołubow odśladanie przed nami przygotowania caratu do wojny. Przebiegają one we wszystkich przejawach życia ówczesnej Rosji. Przeciwno wojnie imperialistycznej występują jedynie masy ludowe.

Bolszewicy kierują rewolucją

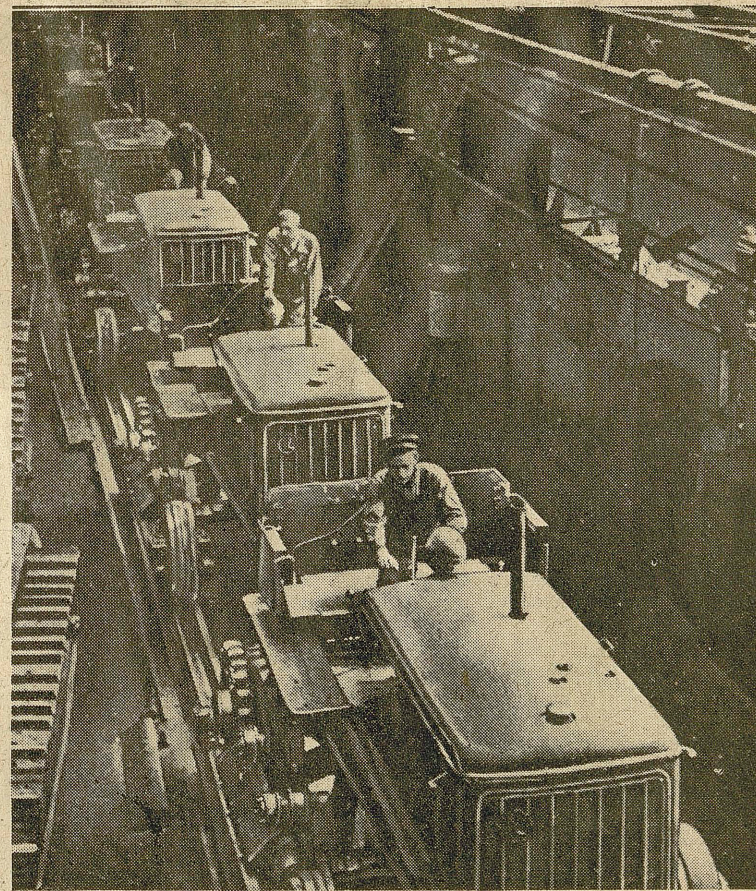
Elementem historycznej negacji caratu, jako systemu ustrojowego, jest pokazany przez autora poprzez artystyczny i polityczny kontrast lud rosyjski z klasą robotniczą na czele i jej partią bolszewicką. Tu

„Siostra umarła mi na gruźlicę, nad praniem pańskiej bielizny. Braciśzek Mitia pracował w drukarni. Ale nie długo. Zatruli się pyłem ołowianym i już po nim. Matka przed cerkwią zebrała i tam duszę oddała Bogu. Starsza siostra Paszka, nocniki spod jednego pana wynosi, za pokojówkę służy... Wszystkich zabija niedza... Kapitalizm... przyniósł”. Ten indywidualny wariant losów ludzkich przedstawia się z małymi wyjątkami w dziejach każdego z nich. Z kart książki poznajemy ich jako ludzi, którzy w swym życiu i doświadczeniu są już „bogatsi wiarą w klasę robotniczą”.

Aleksy Katasonow jest tu najbardziej reprezentatywną postacią. Jednoczy on w sobie wszystkie typowe cechy dobrego bolszewika. Walczy o realizację generalnej linii partii na odcinku masowych wystąpień robotniczych, o przekształcenie strajków ekonomicznych w strajki polityczne — przeciw caratowi i wojnie, tak jak to czynią robotnicy Zakładów Pułtowskich i o zwycięstwo bolszewików w wyborach do IV Dumy. Pociąga za sobą robotników wizją wspaniałej przyszłości, wizją socjalizmu.



Budowa kanału w Astrachaniu.



W radzieckiej fabryce traktorów

dzie „prawdy, piękna i dobra”, a przed chwilą wraz ze swoją kompanią wojskową tłumili strajk robotników Wikulowskich. Z kolei syn Tułubiewa musi stwierdzić finansowych wysiłków (jako dowódca pułku) wychowania swych żołnierzy w duchu kontrrewolucji. Doskonale wojsko stwarza tym samym obiektywne warunki szybkiego zwycięstwa rewolucji. Przyjdzie mu potem stwierdzić: — „rosyjski żołnierz to... nieznan Sflinks”. „Nieznany Sflinks” był w kilka miesięcy później pierwszym, który tworzył rewolucyjną Radę Delegatów Robotniczych i Żołnierskich.

Oczywiście, z penetracją wroga klasowego w łonie klasy robotniczej i partii walczą nieugięcie bojownicy tej partii. W tej walce dokonuje się proces ostatecznego oczyszczenia ideologicznego. Odpadają tchórze, likwidatorzy, otzowici i inni. To był dalszy z kolei warunek zwycięstwa rewolucji, warunek narodzin nowej epoki. Takie były ostateczne, historyczne konsekwencje skrzyżowania woli ludzi i klas z prawami dziejów roku 1917 na wielkiej mapie politycznej ówczesnej Rosji.

rewolucja. Czujemy ją prawie namacalnie na każdej z kart epopei. Rzecz bowiem w tym, że autor zgrzmadził w niej niemal wszystkie przyczyny które złożyły się na wybuch rewolucji. Do rewolucji muszą nieuchronnie doprowadzić wszystkie wypadki i zdarzenia, cały poprzedni bieg dziejów. Tym samym tytuł książki uzasadniony jest przez cały jej materiał. Nie darmo Aleksy Katasonow powie w ostatnim wierszu książki: „...Wojna?... Rachunek za nią płaci się na końcu... jeszcze zobaczymy!”. Końcowy akord „Narodzin epoki” nie mógł być inny, jak też nie mógł być inny rzeczywisty bieg wydarzeń historycznych, które złożyły się na narodziny epoki Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej w Rosji, epoki Lenina i Stalina. Taką zdolność naukową i analityczną historycznych, przewidywania ich dalszego ciągu, wysoką umiejętność artystycznego odtwarzania tych faktów może mieć jedynie pisarz marksista.

Ryszard Hładko

*) Sergiusz Gołubow „Narodziny epoki” S.W.C. „Czytelnik” 1950 r.

Jan Czarny.

Jo-szi oplakuje syna zabitego przez faszystów

Jo-Szi milczy: jej syn, jej syn-
Jo-Szi płacze: mój syn, mój syn,
Czy był choć jeden taki?
Na żarnach ślady jego rąk
I na motyce ślady rąk,
Jo-Szi się zrywa skoro świt,
A może syn mój jeszcze śpi?
Śpi on na polu pod Phenianem,
Leży na ziemi niezoranej,
Ta ziemia chleba nie urodzi,
Bo po niej żołdak obcy chodzi.
Wieczorem Jo-Szi staje w drzewach,
Błysk nienawiści w oczach drga
Przeklina lunę nad Phenianem.

Pieśń Obrońców Hambyngu

Dzisiaj morze ma kolor czerwony,
Krew się kłębi w morskich odmętach
Wróg nie dotarł do naszej obrony
Sterczą wraki rozbitych okrętów.

Zginie ten, kto chce nogę postawić
Na wybrzeżu przesiąkłym potem,
Z serc i z dział wystrzelimy nienawiść,
Albo sami legniemy pokotem!

Potrąfimy dno morskie wymościć
Żołdakami zamorskich handlarzy,
Znamy dobrze już smak wolności,
Któż się po nią sięgnąć odważy?

Choć wasz bagniet pierś mężnych przewierci,
Choć swą drogę pożoga znaczenie,
Każda chwila was zbliża do śmierci,
A nas śmierć nawet zbliża do życia.

Edmund Gonczarski.

Tragarze

Gdy ktoś nie wierzył, nie rozumie
ot jakby nie widział i nie słyszał
— dla niego skorupa ziemi twarda
jest i niegościnna.
Słońce judaszem patrzy
zza chmur.
Ziemia i wszystko co na niej
jak orzech do zgryzienia trudny.
Wsi i miast — krajobraz pustyński.
Ludzie, nawet ludzie
sobie obcy, obcy jemu
jakby nie z jednego byli świata.

Ale wiem, inna, inna jest ziemia
za tym oknem szeroka...
Oddycha tysiącem kominów
ponad polami się unosi
mgłą poranną — oddycha ziemia
jak pierś bliskiej istoty.

Pamiętam raz usłyszałem śpiew
tragarzy portowych z Marsylii i okolic,
jak milczenie przed bojem tak groźna
była ta pieśń, i bliska
jakby na własnym śpiewana podwórzu.
Szumiało morze wypełnione po brzegi
— wielkie morze — każda kropla wody
bijąca o brzeg była
jak w pułchach wina, który do ust zbliżasz.

O okęcie śpiewali, który napróżno
wiele dni po falach się niesie,
bo nigdy do portu nie zawinie.
O okęcie, który wiezie morderczą broń
zza oceanu.

O żelaznym statku, który się rozbija
o słowa Thoreau, jak o skały,
o wolę pokoju.

Francja go nie przyjmie.
Nikt z nas nie będzie ładował tej broni.

Tu, w Warszawie widziałem ich twarze,
gdy nad brzegiem stali barczyści i mocni.
Powietrze, góry — żadne spiętrzenia gór
nie mogły mi przesłonić
rąk znieruchomiałych nad ładunkiem broni.

Potem z portu szli,
równie łagodnego marszu nie słyszałem
nigdy.

Choć twardy był ich krok,
przecież do snu kołysał niemowlęta,
dla życia był spokojem
dla ziemi nadzieją, dla zboża wzrostem
twardy ich krok
na marsylijskim bruku opadał
łagodnie, jak na polach rosa.

Pamiętam nawet więcej — gdy szli
każdy koło własnego przechodził domu,
jednego wyglądała matka,
na innego czekała żona.
Nic, nie zrobiwszy tego dnia
mieli uśmiech dziecka, które nabroiło
i z tym uśmiechem przechodzili obok
...Tak szli
Każdy koło naszego przechodził domu.

6 rocznica wyzwolenia Stolicy

Warszawo! Serce Narodu i Stolicy Państwa!
Cała Polska żyje dziś radością Twojego wyzwolenia!
Krwia najlepszych Twoich synów nasiąkły Twe place
i podziemia.

W ruinach legły Twe najpiękniejsze, przez wszystkich
nas uwielbiane gmachy, pomniki i ulice. Sprawiała to
nienawiść wroga i głupota wsteczników.

Dziś wrócili Ci wolność żołnierze polscy, sprzymie-
żeni z bratnią Armią Czerwoną, wyzwolicielką narodów
uciśnionych.

Miłujący Cię naród nie zapomni o Tobie nigdy!

Przez wieki cześć będą pokolenia Polaków pamięć
Twoich bohaterskich czynów i twardą wolę Twojej walki
o godność i niepodległość.

Zaś demokracja polska przywróci świetność Twym
kształtom i sławę swej Stolicy utrwalą w twórczym pocho-
dzie ku sprawiedliwemu współzyciu narodów.

Prezydent Krajowej Rady Narodowej
BOLESŁAW BIERUT

19 stycznia 1945 r.



Zniszczony most Kierbedzia w styczniu 1945 r.



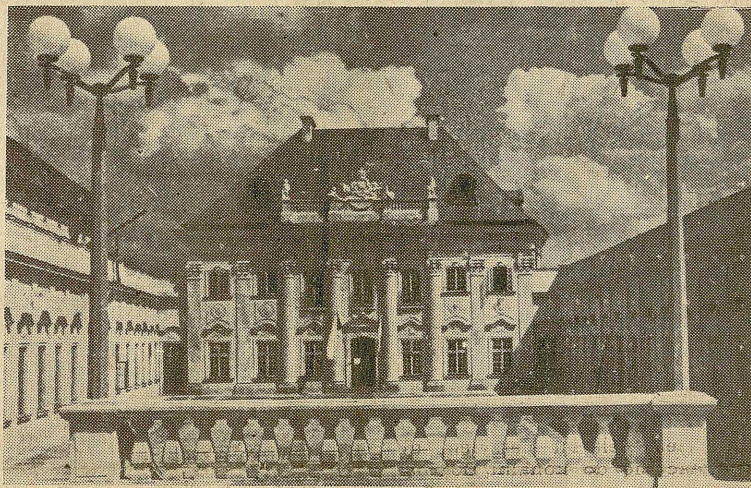
Ruiny Pałacu „Pod Blachą” w styczniu 1945 roku



Pałac Staszica w 1945 roku



Most Śląsko - Dąbrowski w r. 1950



Odbudowany Pałac „Pod Blachą” w roku 1949



Pałac Staszica w roku 1950

SŁAWOMIR KRZEMIŃ

NOTATNIK WARSZAWSKI

W ubiegłym roku ukazała się na półkach księgarskich książka St. R. Dobrowolskiego pt. „Notatnik Warszawski”. Obejmuje ona zbiór wierszy i nowel, które powstawały w latach 1945–49. Zasadniczym tematem książki, wczepionym, który łączy poszczególne utwory w jeden cykl, jest Warszawa. Utwory dotyczą trzech okresów: dwudziestolecia („Moja pierwsza czytelnia”, „Dzień Pierwszy Majowy”, „Poranek literacki”, i in.), okupacji („Pani Górowa”, „Wieczór pod Drewnicą”, „Me-wa”), okresu powojennego („Macte Animo”, „Fandia”, „Trasa radości życia”, „Nie ma dzwonka na przerwę” i inne). Książka samym już tematem budzi zaciekawienie. Pisać o Warszawie — to znaczy pisać o czymś, co jest bardzo bliskie i żywo interesujące nie tylko warszawiaków, ale i tych czytelników, dla których Warszawa jest sercem odbudowującego się kraju, symbolem patosu walki o lepsze jutro. Dlatego z ciekawością i z lekkim drżeniem w sercu bierzemy do ręki każdą książkę, która określa przymiotnik: warszawski. A nuż to będzie coś naprawdę dobrego?

Jednym z podstawowych zadań ideologicznych dzisiejszej literatury jest walka ze smutnymi pozostałościami okresu międzywojennego w naszej kulturze. Prawdę powiedział ktoś w odniesieniu do pisarzy debiutujących w okresie dwudziestolecia, że nie ma takiego, któryby się choć trochę nie zachlapał brną przez przedwojenne błoto. Nacisk tradycji literatury mieszczańskiej był tak silny, że do dziś wielu pisarzem, nawet silnie związanym z ruchem robotniczym przed wojną i dziś usilnie pracują-

cym nad wypracowaniem soc-realistycznego warsztatu pisarskiego, trudno jest uchronić się przed jego konsekwencjami. Tak jest też z Dobrowolskim. Niezwykle powoli wyzwała się pisarz z nacieków drobniomieszczańskiego sentymentalizmu, w którym roztopiają się i giną nierzadkie zresztą akcenty klasowego widzenia rzeczywistości, właściwej oceny ludzi i zjawisk.

Autóra wiąże z Warszawą trudne, pełne troski i głodu dzieciństwo robotniczego dziecka, młodość, żmudna, bohaterska walka pod czerwonymi sztandarami, uparta orka lewicowego literata, walka z najeźdźcą i wielkie tworzywo dzisiejszego dnia. Nie dziwnego, że autor pisze o tym wszystkim, jako o czymś, co jest mu najbardziej bliskie sobie. Ale to wszystko nie usprawiedliwi autora z tego, że sentymentalnego uśmiechu nie stracił w żadnym momencie: nawet wtedy, gdy opisuje pochód mławy. W mgłecie sentymentu traci ostrość swojej wymowy los dziecka ulicy, skoro opowiada się o nim z lekka rozrzuconym w oku. Wszystkim nam droga jest Warszawa, ale nie ta Lilpopów. Nie możemy się zgodzić na sentyment dla Warszawy, pojętej jako monolit, Warszawy jako takiej. A taką sugestię — przypuszczam, że zresztą mimo woli autora — narzuca czytelnikowi „Notatnik Warszawski”.

Przyznam się, że nowela zatytułowana „Pani Górowa”, zdenerwowała mnie. Jest to opowieść o typowej mieszczejce, przekupce, która w czasie okupacji przechowywała w sobie dwoje Żydów. Policja sprawę wysłuchiła i pani Górowa była w niebez-

pieczeństwie. Mało brakowało — byłaby się znalazła na Szucha. Ale się nie znalazła — puścili ją. Tak więc w cieniu zanej przekupki, urastającej do symbolu zacości „ście warszawskiej” (?), ukryły się reszki spekulantów, drobniomieszczańskich hien żerujących na zbrodniach faszyzmu. Tu więc tkwi zasadniczy błąd autorskiej typizacji, dokonanej jak wskazuje data — w r. 1949, t. j. w roku w którym kwestia błędów, związanych z koncepcją „Frontu Narodowego” została już rozstrzygnięta.

Szybkie tempo rozwoju naszego kraju powoduje też szybkość przemian na froncie ideologicznym, coraz czujniejszą i surowszą walkę z pozostałościami wrogich ideologii, które wczoraj jeszcze musielimy traktować bardziej pobłażliwie. Gdy na okładce książki zobaczymy rok wydania 1948, to albo to będzie książka wydana już w 48, albo jeszcze w 48, i osadzając ją, trzeba koniecznie pamiętać o tej dacie.

Właśnie w 48 roku powstały takie utwory Dobrowolskiego jak „Fandia”, lub „Trasa radości życia”. „Fandia” jest opowieścią o przodowniku pracy, Lesiaku, który przyjechał z Przemysłu do Warszawy i tu osiągnął dobre wyniki, szczególnie dzięki wynalezieniu przez siebie przyrządu, który nazwał fandlą. Lesiak swoją postawą, zrzecnością w pracy przelał w namiętność nowych kolegów. Po prostu wystarczyło, że zobaczyli dobre wyniki Lesiaka i od razu przekształciła się do współzawodnictwa, do Lesiaka i do jego fandli. Obraz nie wątpliwie bardzo uproszczony. Bez konfliktów, bez walki, jak nie z tego, w ciężkim trudzie zmierzającego

do socjalizmu świata. Podobne braki ma „Trasa radości życia”. Tu bohaterem jest dawny robotnik Pawlik, który przyzwyczaiwszy się podczas wojny do handlu i interesów, nie zerwał z tym również po wojnie. W 48 r. wsiólnicy Pawlika „zasypali się” a Pawlik rad nie rad wziął się do roboty przy odbudowie Kierbedzia. W bardzo szybkim tempie następuje przemiana tego handlarza walutą. Nie wiadomo co prawda w jaki sposób, ale s'aje się pełnowartościowym robotnikiem, twórcą nowego życia. Ciekawe? Ciekawe. Ale naprawdę wywołuje wrażenie obrazka z nieprawdopodobnego zdarzenia.

Ale nam też nie wolno upraszczać złążeń, zapominając, że to jest rok 48. Pisząc te obrazki, autor był niewątpliwie Bo nowatorstwem było wtedy sięganie do takiego tematu, próba oddania rodzającego się ruchu współzawodnictwa. Bez żadnych doświadczeń literackich — ze skromnym doświadczeniem życiowym jasne, że obraz musi być uproszczony, schematyczny, zawieszony trochę w próżni. Ale samo już postawienie tematu jest świadectwem wejścia na właściwą drogę. Tym bardziej, że droga ta wiedzie prosto do wiersza, który jest zatytułowany „Nie ma dzwonka na przerwę”. Droga prosta i słusna. O tym wierszu można śmiało powiedzieć, że jest naprawdę dobry. Nie ma dzwonka na przerwę, walka trwa. Potrzebna jest dobra poezja, potrzebne są dobre książki, które by szcześnie stawały słusne sprawy — i w słuszny sposób dawały wyraz miłości do miasta, będącego symbolem walki, pracy i nadziei.

Sławomir Krzemiń

ILJA ERENBURG

P R Z E Ł O M ^{*)}

JESLI można wierzyć reporterom z całego świata, nie wydarzyło się nic szczególnego w ostatnich tygodniach 1950 roku. Tak jak co rok przestarzały skandynawscy mężowie opatrnościowci rozstrzygnęli komu przydzielić nagrodę Nobla. Tym razem został nią zaszczycony przestarzały angielski „mąż opatrnościowcy” Bertrand Russell, który oświadczył, że jest głęboko wzruszony nagrodą i święcie wierzy w zbawcze właściwości wszystkich koniszejczych bomby atomowej. Etna wybuchła i zalała lawą kilka wsi. Parlament francuski przyznał, że pan Jules Moch ma nieczyste ręce i jest zamieszany w kolejną aferę czekową. Nad Ameryką przeszła silna burza, która poczyniła straty na sto milionów dolarów. Król duński przybywszy do Paryża ofiarował prezydentowi Francji „order Słońca”. W Barcelonie odbyło się inauguracyjne zebranie „Towarzystwa obrony prawnych żon od męskich nalogów”. Wszystko to mogło się wydarzyć równie dobrze pół wieku temu.

Można wątpić czy historycy przyszłości zainteresują się toastami pana Bertranda Russella lub luzjami pań z Barcelony: koniec 1950 roku stanie przed nim jako jedna z najbardziej patetycznych kart historii, gdy pojedynk między siłami śmierci i siłami życia dosięgnął najwyższego napięcia.

Zaledwie skończyła się druga wojna światowa, gdy niektórzy politycy Stanów Zjednoczonych zaczęli mówić o nowej wojnie; lata wojenne zmienili oni na przedwojenne. Panowie ci wzywali do nowej wojny operując się na najrozmaitszych pretekstach: to trzeba było powstrzymać rzadkie czołgi, które jakoby szły na Teheran, to dla uratowania pana Tsaladaria należało zniszczyć kraje sąsiadujące z Grecją. Panowie, którzy pragnęli za wszelką cenę walczyć, proponowali iść do boju w obronie Turcji, w obronie węgierskiego kardynała, w obronie świętych praw maklerów zachodniego Berlina do spekulowania „wschodnią marką”. Klamali oni zawsze tak samo i podjudzali bez polotu, nie mieli czasu na wyszukiwanie odpowiednich powodów — zbyt byli pochłonięci jedną sprawą: w wojnie widzieli swoje ocalenie.

Najbardziej niecierpliwi, najbardziej szaleni mówili o „wojnie prewencyjnej”, przynawali, że mało ich obchodziły losy węgierskiego kardynała, lub zyski spekulantów berlińskich, że trwożyła ich nie rzekome rzadkie czołgi, idące na Teheran, ale najzupełniej realne miliony zwolenników pokoju we Francji, Włoszech, w krajach Ameryki Łacińskiej. Nie ukrywali, że nie chodzi tu o rzadkie łodzie podwodne, które przywidziały się jakimś wenezuelskiemu locmanowi, kiedy spłi się do białej gorączki, lecz o groźne przebudzenie się niewolników w koloniach, o zwycięstwo narodów Azji, o zbliżenie się nowej ery ludzkości. Mówili oni otwarcie, że chodzi nie o straty poniesione przez spekulantów berlińskich, lecz o kryzys, który grozi Nowemu Światu. Twierdzili niejednokrotnie, że niepokoi ich nie tyle bliskość Władystoku od Alaski co bliskość ery komunistycznej i że gdyby pozostał Związkowi Radzieckiemu dwadzieścia lat pokoju, to spór pomiędzy systemami zostałby rozstrzygnięty nie na ogromnych polach bitew, ale w mózgownicy przeciętnej Amerykanina. Po zostaje tylko jedno wyjście — mówili najbardziej niecierpliwi lub najbardziej szaleni — rozpocząć wojnę natychmiast.

Inni, jeśli nie bardziej cierpliwi, to rozsądniejsi zgadzając się ze zwolennikami „wojny prewencyjnej” wyrażali się ostrożniej i starali się przedstawić jako ludzie młujący pokój. Pan Truman kierując w ciągu szeregu lat wieloma przedsięwzięciami mającymi na celu przyspieszenie wojny, nie przestawał mówić o swoim przywiązaniu do pokoju. Aż do ostatnich chwil czasu nie przekraczał on miary w swoich publicznych wystąpieniach, (zapoznawszy się niedawno z opublikowanym przez gazety amerykańskie niezmiennie charakterystycznym listem do pewnego krytyka muzycznego widzę dopiero, z jakim trudem utrzymywał pan Truman taką wstrętność). Zajmując się powietrznymi trasami bombardowań panowie ci, nie zapominali przesyłać w powietrzu pocunków. Grał na sentymentach ludzkich i błagał o pomoc Pana Boga; a siebie rozmnażał bakterie dumy, a jeżeli zwywał kogoś na pomoc, to najzupełniej ziemskiego generała Guderiana. Przygotowując się przez wiele lat do wojny, mówili o pokoju. Tylko najniecierpliwi i najbardziej szaleni gardzili tymi słownymi maskami. Można było powiedzieć: co pan Truman miał w głowie, to panowie Matthews lub Griffin na języku. Jedni nazywali przygotowanie do agresji „obroną”, inni mówili wprost o „wojnie prewencyjnej”, i ci i tamci opierali wszystkie swoje nadzieje na wojnie.

Marzyli o tym, aby spalić, obrócić w popiół, zniszczyć, przyszłość. Tu można by wspomnieć o pewnym zjawisku związanym z pojęciem „metody prewencyjnej”, która tak nęci polityków Stanów Zjednoczonych. Jak wiadomo w końcu 1950 roku wojskom amerykańskim zdobywców zdarzyła się pewna nieprzyjemność. 24 listopada generał Mac Arthur podpisał rozkaz o generalnej ofensywie oświadczył, że jego „chłopcy” będą świętować Boże Na-

rodzenie w swoich domach. Kore-spondenci gazet francuskich donosili z Washingtonu, że „ofensywa została przedsięwzięta po starannych przygotowaniach”, że „wszystko zostało wyliczone i rozważone”, że „można uważać rozpoczętą bitwę za wygraną”. Trzy dni potem ci sami korespondenci pisali, że w Washingtonie sytuację ocenia się jako krytyczną, że w północnej Korei rozegrała się tragedia i że „generał Mac Arthur tłumaczy rozpoczętą przez siebie ofensywę jako operację prewencyjną wywołaną okolicznościami”. Wreszcie 30 listopada wszyscy ci sami korespondenci donosili: „W Washingtonie panuje zdumienie, jak generał Mac Arthur mógł się zdecydować na tak ryzykowną operację i jak Pentagon pozwolił mu igrać z ogniem.”

Nie chcę ani umniejszać, ani przesadzać ważności wojny w Korei, wiem że obywatel amerykański starannie okłamywany przez prasę, mało uświadomiony o tym, co dzieje się poza granicami jego kraju, zapewne nie od razu wyprowadził wnioski z wydarzeń w Korei. Wojna, która zniszczyła daleki kraj przyniosła mu iluzję dobrobytu: interesy się poprawiły, fabryki zawałone były zamówieniami, w sklepach nie można się było opędzić od kupujących. Obywateli pociesza się tym, że zwała na kogoś winę: Smith z 52 ulicy, który głosił na republikańską, że sprawę zaprzęśli pan Acheson i dyplomaci, Smith z 53 ulicy, który głosił na demokratów, że winnymi klęski są generał Mac Arthur i wojskowi; obaj Smithowie są przy tym przeświadczeni, że „w krytycznej godzinie angielscy egości i francuskie lekkoduchy zdradziły wielkość Ameryki” — wyczytali to w swoich gazetach. Obywatel amerykański zdumiony i przynębiony wiadomościami z Korei nie rozumiał jeszcze, że nie idzie tu o tępotę tego lub innego dyplomaty czy głupotę tego lub innego generała, ale o przestępczość i beznadziejność samej idei — powstrzymaniu siłą oręża zbudzonej Azji, której narody chcą żyć własnym życiem.

Wiem, że obywatel amerykański, będąc uczciwym i spokojnym człowiekiem rozumie, jeśli nie jutro to za rok lub dwa, dokąd zaprowadził go beznadziejny przewrót. Nie czyni zarzutów amerykańskiemu obywatelowi, ale co powiedział o tych, co rządzą Ameryką przejęci strachem i wściekłością, o tych, którzy stracili ostatnie okrucy zdrowego rozsądku. Nigdy jeszcze ani pan Truman, ani otaczający go dyplomaci i wojskowi, nie dochodzili do tak nieprzemysłanych i nieostrożnych słów jak w ostatnich tygodniach 1950 roku. Pan Truman ogłosił w swoim kraju „stan nadzwyczajny” i nikt tym razem nie wyraził zdumienia, dlaczego pozwala się głowie państwa igrać z ogniem.

Do końca listopada gazety amerykańskie określały operację wojenną w Korei jako zdarzenia światowej doniosłości; teraz nazywają walki w Korei „wojną lokalną”. Powtarzam, nie mam zamiaru przesadzać znaczenia wojny koreańskiej. Jeśli amerykańscy dziennikarze chcą nazywać ją wojną lokalną, niech nazywają — podłość może być także „lokalna”. Można było jednak spodziewać się, że przebolawszy klęskę w „lokalnej wojnie” amerykańscy politycy opamiętają się, posłuchają trzeźwego głosu zwolenników pokoju. Tymczasem panowie ci, nie zdążywszy nawet przegrać „wojny lokalnej”, żądają rozpoczęcia wojny światowej. Mówiąc, że Amerykanie „nie mają zamiaru więcej wszczynać wojen na peryferiach”, gazeta „Washington Post” radzi rozpocząć natychmiast działania wojenne przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Członkowie parlamentu na wyścigi krzyczą o bombie atomowej. Przypomina to wszystko bredzenie paranoika, jest to jednakże polityka wielkiego państwa. Sparzywszy się mlekiem, nie dmuchają na wodę, oni rwą się do rozpalonego kotła.

Skąd ten strach, skąd te szalone pogroźki i przekleństwa, czyż niepowodzenia w „wojnie lokalnej” wyprowadziły z równowagi rządzących silnym mocarstwem? Co ich tak rozgniewało? Zaciętość malkutkiego narodu koreańskiego? Czy też istnienie Chin, którego nie chcą uznać ani Ekuador ani Panama i które jednakże istnieją bez licencji pana Trumana? Czy też być może panujących Amerykę wyprowadza z równowagi stosunek do nich obywateli tych krajów, które są uważane za sojuszników, które są uważane za sojuszników. Głównie Amerykańscy ciagle jeszcze nie rozumieją, że jest już połowa XX wieku, że prości ludzie zmadrzeli, że nie można dziś nawet za miliardy dolarów otrzymać milionów ludzkich istnień. Narody różnych krajów coraz głośniejszym występują przeciwko wojnie. Głosy ich nie dają zasnąć nerwowym rzeszom Białego Domu. Należy za wszelką cenę ukrocić ruch w obronie pokoju — mówi pan Truman. Rozpocząć wojnę, aby nie dopuścić do pokoju. Taki jest ostatni pomysł prewencyjnych strategów i dyplomatów.

Kierownicy Stanów Zjednoczonych rozporządzają wielką władzą. Pan Truman ma prawo ogłosić stan nadzwyczajny nie tylko w swoim kraju, ale także w Islandii, w Chile, na Fi-

lipinach, wszędzie, gdzie mu się podobą. Jeśli pan Truman oświadczy jutro, że należy poddać blokadzie księżyc i nawiązać stosunki z cesarzem Chaldei Nabuchodonozorem delegaci czterdziestu państw będą pokornie głosić za tym mądrym wnioskiem. Gdy pan Atlee próbował wspomnieć, że jest jak by nie było, premierem niepodległego i wielkiego państwa, wezwano go do Washingtonu i pan Atlee czym prędzej oświadczył, że zgadza się ze wszystkim z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Pan Truman może wszystko, nie może tylko uczynić jednego, właśnie tego, o czym marzą kierownicy Ameryki, nie może zmusić narodów do wojny. Będąc wszechmocnym, jest bezsilnym. Mogł podyktować Organizacji Narodów Zjednoczonych decyzję rozpoczęcia działań wojennych w Korei. Mogł kupić sobie cudzy sztandar — dano mu sztandar. Uzyskał poparcie rządów; były powitania, gratulacje, mowy; nie znalazła się tylko armia, nikt bowiem nie zechciał umierać za prestiż chciwej Ameryki. Nowa Zelandia posłała generała. Mac Arthurowi zamiast żołnierzy worek grochu, a Islandia wielko- dusznie poczęstowała rachitycznych nadludzi rybm tuszczem.

Dlaczego ludzie zdawali by się tak całkowicie oddani panu Trumanowi jak pan Bevin, pan Schuman i pan De Gasperi, są tak ostrożni? Amerykanie obwiniają ich niesłusznie: nie dostarczają oni żołnierzy nie dlatego, że nie chcą, a dlatego, że nie mogą. Nie mieszkają oni w Białym Domu, lecz w Londynie, Paryżu, Rzymie; muszą się liczyć z wolą swoich narodów. Pod koniec 1950 roku siły pokójne zmogły się; przyczyniły się do tego nie tylko zbrodnie generała Mac Arthura, ale także całe zachowanie się pretendentów do panowania nad światem, którzy do reszty utracili zdrowy rozsądek. Im silniejszy jest ruch pokoju, tym bardziej czynnie i grubiańsko postępują pan Truman i jego szeryfowie z różnych krajów; im bardziej czynnie i grubiańsko oni postępują, tym silniejszy staje się ruch pokoju.

Czy trzeba jeszcze raz przypominać, jak bardzo pomógł siłom pokój pan Atlee, który usiłował nie dopuścić do międzynarodowego Kongresu? Ósmego listopada znani działacze religijni i kulturalni USA, biskupi Kalifornii, Massachusetts, Atlanty, profesorowie Morrisson, Rozbieri, Kerlson wysłali do pana Atlee depeszę gratulacyjną. Pisali oni: „Wszystko się udało, że Kongres Pokoju odbędzie się w Scheffield. Wielka Brytania jest matką naszych swobód i trudno było wybrać miejsce bardziej odpowiednie dla tak ważnego wydarzenia. Spodziewamy się, że pan wystąpi na Kongresie osobiście z programem pokoju”. Mgiełte dni listopadowe przyniosły wyjaśnienie. Otrzymałszy depeszę pan Atlee rzeczywiście wystąpił, tylko nie z programem pokoju lecz z dzwignym okrzykiem dżerymordy: „Precz!” Wszystko zostało puszczane w ruch: konsultowie odmawiali wizerunku, dwudziestu krajów mysklowali z pistoletami i pałkami, policjanci przeszukiwali okręty, zamknięte zostały lotniska, zmienione rejsy samolotów. Białe gołębki pokoju, ten symbol stworzony natchnieniem Picassa, symbol który stał się nadzieją prostych ludzi całego świata, biały gołębek, zdawało się, trzepotał się w sidłach. Cóż osiągnęli przeciwnicy pokoju? Nie złapali oni, nie mogli złapać gołębka, w ciągu jednego listopadowego tygodnia liczba zwolenników pokoju wzrosła w dwójnasób. Przejrzeli biskupi i profesorowie, ci co kopia ziemię i uprawiają winnice, starzy marynarze i młodzieńkie robotnice, przejrzały miliony zwykłych ludzi.

Kongres warszawski nie był huźną, demonstracją lecz spokojnym roboczym zebraniem rzeczywistych przedstawicieli narodów świadomych swej siły, które rozumiały, że w ich możliwościach leży niedopuszczenie do wojny. Amerykańskie i amerykańizujące gazety usiłowały przemilczeć to tak ważne wydarzenie; lecz ruch pokoju przetrwał być już sprawą grupy, partii stał się, ruchem całych narodów, a czyż można ukryć przed narodem jego własne marzenia, jego wolę, jego drogę?

Do sił pokoju należą teraz i wielcy myśliciele, kwiat ludzkości i setki milionów zwykłych ludzi wszystkich klas, wszystkich ras, wszystkich wieści: dlatego właśnie na Kongresie warszawskim siedzieli obok komunistów socjaliści, liberalowie, konserwatyści. Amerykanie obok Koreańczyków, delegaci Vietnamu obok Francuzów, uczony pracujący nad pokojowym zastosowaniem energii atomowej obok starego poety-bajzara indyjskiego, który po raz pierwszy opuścił rodziną wieś. Pan Truman dobrze zdaje sobie sprawę z tego, jaką rolę odegrał Kongres warszawski w walce o pokój. Rozdzielenie Amerykanie nie przepuścili przez Niemcy Zachodnie Fryderyka Joliot-Curie powracającego do Paryża; zmusili Czechosłowację do przerwania komunikacji powietrznej z Włochami i Szwajcarią motywując to tym, że część delegatów korzystała w podróży do Warszawy z samolotów czechosłowackich. Drobną, żalona zemsta, godna oszalałych maniaków.

Kierownicy Ameryki w ciągu szeregu lat próbowali siłą oręża utrzymać Chiny; straciliwszy je i zrozumiałwszy, że naród chiński nie chce handlować ani swoją ziemią ani swoją niepodległością, Amerykanie postanowili ogłosić to wielkie państwo za nieistniejące. Jednocześnie wsunę-

li do swej dość pojemnej kieszeni wielką wyspę chińską, nie omieszkałszy przy tym wspomnieć o swojej szlachetności, zgodnie ze starym przysłowiem — dobry złodziej nie nie ukradnie bez modlitwy. Pod koniec 1950 roku Amerykanie mieli sposobność przekonać się, że unicestwienie przez nich Chiny istnieje i że Chińczycy bynajmniej nie zapomnieli o swojej wyspie. Pragnąc osłodzić sobie nieco gorzkie utraty Chin, pan Truman zatrzymał swoją uwagę na Korei, i znowu omylił się: w Korei znaleźli się Koreańczycy, których w żaden sposób nie mógł los mieszańców Filipin lub Porto Rico. Matki tych „chłopców” Mac Arthura, którzy nie wrócili na Boże Narodzenie i którzy już nigdy nie wróca, mogą zapytać pana Trumana, za co zginięły ich dzieci w dalekim i obcym kraju.

„Dając do tego, aby za wszelką cenę utrzymać swój prestiż w Azji, ryzykujemy utratę naszych przyjaźni w Europie” — pisała gazeta „New York Post”. Przestrogi te nie doszły ani do generała Mac Arthura ani do pana Trumana, 24 listopada angielska gazeta „News Chronicle” w zaniepokojeniu podkreślała: „Generał Mac Arthur jest świetnym strategiem, ale złym dyplomatą”. Pięć dni później cały świat mógł ocenić strategiczne talenty wyżej wymienionego generała. Komplementy ustały, zmogły się zato napaści. Pan Sirius w gazecie „Mond” pisał w swoim czasie, że bombardowanie miast koreańskich kwalifikuje się jako przestępstwo wojenne „Populaire” zamieścił korespondencję z Londynu, w której pisało, że „Anglicy o poglądach umiarkowanych coraz bardziej lekają się skrajności, do jakich zdolni są wojskowi amerykańscy. W Londynie uważają, że klan Mac Arthura ani nie postępują, tym silniejszy staje się ruch pokoju.”

Europejczycy obwiniali nie tylko jednego generała: jasne było, że Mac Arthur posiada silnych popleczników. Gazeta „Combat” mówiła o tym, że „generał Mac Arthur zaprowadził nas w ślepej uliczce”, wyjaśniała: „wszystkiemu winne są ambicje osobiste i polityka siły”. Inna, całkowicie pro-amerykańska gazeta „Aurore” umieszczała centrum schorzenia: „pozycja zajęta przez Washington niesiechanie nas niepokoi”. Największe oburzenie wywołała deklaracja pana Trumana pełna historycznych pogroźek i głupiego samochwalstwa. W Paryżu rozpoczęły się strajki protestacyjne. W Rzymie burzliwa demonstracja skierowała się w stronę budynków państwa amerykańskiego. Wszędzie urzędy miejskie i różne organy samorządowe, wiece obywatelskie w „setkach” rezolucji osądzały oświadczenie pana Trumana. St. delegatów laborystów oświadczyło, że jeśli pan Truman zrealizuje swoje pogroźki, wojska angielskie powinny natychmiast opuścić Koreę. Nawet minister spraw zagranicznych Kanady czym prędzej zaczął się odgradzać od pana Trumana.

Nie ma co, kanadyjski minister szybko zostanie przywołany do porządku; wielu z setki delegatów laborystów popałasuje i uspokoi się, ale nie uspokoją się górnicy Welisa, Skotlandii, nie uspokoją się robotnicy paryscy, nie uspokoją się chłopcy włoscy, nie uspokoją się narody Europy. Pan Truman potrafił dogadać się z panem Atlee, odbyło się to bez trudności. O ileż trudniej będzie panu Trumanowi dogadać się z narodem angielskim, któremu rządzący Ameryki proponują niezbyt pochiebną rolę landsknehta. Panowie z Białego Domu powinni wreszcie zrozumieć, że narody, to nie pan Atlee.

„New York Times” pisze: „Jeśli pójdziemy zbyt daleko stracimy naszych sojuszników. Późno się spostrzegli. Wątpliwe, czy panu Trumanowi wystarczy sojusznik z panem Atlee albo z panem Schumanem. Ze wszystkich ministrów i wice-ministrów paktu atlantyckiego trudno byłoby sklecić jeden karny batalion.

Próbując pocieszyć swoich czytelników gazety amerykańskie oceniały Europę: to są te zielone winogrona. „Chicago Tribune” postanowiła zdemaskować niewdzięcznych Francuzów: „Przeszło Francji nie wzbudza do niej żadnego zaufania”. W 1917 roku tylko amerykański korpus ekspedycyjny ocalił sytuację... Francuzi mniej niż ktokolwiek inny mają prawo podpowiadać Amerykanom, co robić a czego nie robić dla obrony Zachodu”. Nawet taka amerykańizująca gazeta jak „Figaro” oburzyła się: „W 1917 roku pierwsze amerykańskie oddziały zjawyły się na froncie nie po to, aby „ocalić sytuację” ale po to, aby wziąć udział w końcowych walkach”.

Wymiana uprzejmości trwa. Czeladź szemrze na pana nie tylko dlatego, że pan jest chciwy i ordynarny, ale dlatego także, że pan Truman nie okazał się Jowiszem a Mac Arthur — Napoleonem. Czeladź poszemrze i umilknie. Co innego jest w tym pouczające: jak chorobliwie nadludzie amerykańscy reagują na każdy nawet najbardziej nieśmiały sprzeciw jakiegokolwiek mieszkańca Europy. Dla zwolenników wojny prewencyjnej groźni są nie dziennikarze amerykańizujących gazet, groźni są ich czytelnicy. We Francji, we Włoszech, coraz częściej podnoszą się głosy ludzi jeszcze niedawno zwolenników paktu atlantyckiego, a teraz wycofujących się na pozycję neutralności. Ludzie ci rozumieją, że za słowami „o obronie Zachodu” ukrywają się plany wojny prewencyjnej i żaden Anglik czy to posiadacz fabryki tekstylnej, inżynier czy tkacz nie chce

ACHMED DŻAMIL
(Azerbejdżan)PORYW GNIEWU
OGARNIA NARODY

Jeszcze nad ziemią przez krwawy opar zniszczeń
Świeżych pożarów smutny dym się kołysze,
Jeszcze nie rodzą popioły pół wypalonych do szczętu,
Jeszcze nieznana jest liczba na dno strąconych okrętów,
Jeszcze w koloniach dalekich wciąż garnizony stoją
Nadal daleko od domu amerykański wojak
I nie przestała jeszcze dzień w dzień wspominać
Oślepiła mat'la zastrzelonego w okopach syna.
W pogorzeliśkach brzożowe krzyże bieleją na grobach,
Na asfalt stolicie cień rzuca milczących kobiet żałoba.
Doprawdy, koszmarnych czasów pamięć na długo zatrzyma.
Dziś na zachodzie jak dawniej niebo w pespnych dymach.

I niebo a niebo od nieszczęść zbieleale.
Nadciąga daleki parowiec zza morza.

Szlak jego — krew,
Szlak jego — śmierć,
Szlak jego — pożar.

Dla Europy dary od Washingtonu.
Lecz to nie mąka, tylko pocisków tony.
Nadciąga daleki parowiec zza morza.
Szlak jego — krew,
Szlak jego — śmierć,
Szlak jego — pożar.

Za ciemną chmurą skrył się łagodny księżyc.
O burtę fala bije i sterom cięży
I marynarzy wzywa jej ostry zalew:
„Co szybciej w tył zawróćcie,
Ni mili dalej!”

Ich głos potężnym echem na świat się zwala:
„Co szybciej w tył zawróćcie,
Ni mili dalej!”
„W tył!” — zabrzmiał rozkaz Aten i Berlina,
„W tył!” — wzywa Szang-haj w wyzwolonych Chinach,
„W tył!” — rozkazuje z nad skał Oceanu
Zesłaniec Taurzyzy
I jeniec z Viet-namu.

O burtę fala tłucze i sterom cięży.
W piorunie fali
Wyczuwasz wolę, z którą lud nasz zwycięży.
„Ni mili dalej!
Co szybciej w tył zawróćcie,
Dość gorzkich lat!
Nie będzie odtąd waszym
Parobkiem świat!”

I poryw gniewu ogarnia narody.
Już rozlamana strajkami Italia
I strąca skrzynię z orężem do wody
w Marsylii zbuntowany proletariat.
— Dajcie nam chleb i pracę, nie szrapnele.
Mieszkańskie domy dziś szczelnie zamknięte.
Gniazda barykad Neapol zaściele

I zamarł transport z śmiercionośnym sprzętem.
Ale jak wyżęć w ustawicznym głodzie?
Czarł takie życie wymyślił! Przed senat
Ciagną kobiety w posępnym pochodzie
I przeklinają Churchilla, Trumana.
Wzdłuż magistrałi chmurne pieśni płyną:
„Nie dla rezi bezsensownej
Życie dawaliśmy synom.”

O bruki Marsylii i Paryża
Szybciej niż dźwięk,
Ostrzej niż blask
Okrzyk na kształt gromu uderza:
„Cześć i Sława
I Pokój
Republice Rad!”
I biegnie z antypodów w polarne wybrzeża
Wspólny okrzyk, pogodny jakby — pieśń skrzydlata:
„Niech żyje Towarzysz Stalin,
Pierwszy w walce
O Pokój
I radość świata.”

przetłóżył TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

aby jego kraj stał się wielkim amerykańskim lotniskiem skazanym w wypadku wojny na zniszczenie. Zaden Francuz czy to radykal czy katolik, nie chce aby kwiat narodu francuskiego ginał zdobywając ramie przy ramieniu z hitlerowcami. Wrocław dla pana Adenauera a całą kulę ziemską dla pana Trumana. Siły pokójne rosną szybko, a koniec 1950 roku ma pełne prawo do nazwy przełomu. Jeżeli w ostatnich tygodniach przeżytego przez nas burzliwego roku pan Truman doszedł do tak bardzo wyzywających słów, do jawnego przygotowania napaści, to zwolennicy pokoju ze świadomością swej zwiększonej mocy przestrzegali kierowników Ameryki, że narody nie dopuszczą do obmyślenia przez p. Trumana i jego otoczenie zbrodni.

Rozpocząć mogą, nikt już nie może liczyć na zdrowy rozum tych panów. Ale jeśli ośmiela się rozpocząć, że skończy: odpowiedzą za swoje zbrodnie przed sądem narodów. Nie ma bowiem większej poszlaki zbrodni jak

samo pojęcie wojny prewencyjnej. Wojny nie można uniknąć przez wojnę, wojny można uniknąć tylko poprzez pokój. Istnieją prewencyjne szczepionki, nie ma i nie może być prewencyjnej dumy lub prewencyjnej cholery. Można i należy riedopuścić do katastrofy, ale nie wolno wywoływać katastrof usprawiedliwiających tym, że czyni się to dla jej uniknięcia.

Koniec 1950 roku przyniósł ludzkości wielki niepokój i wielką nadzieję. Nigdy złowieszczy cich nowej wojny nie podkradał się tak blisko do oświetlonych okien domu, w którym matka pochylała się nad swoim pierworodnym. Ale nigdy jeszcze zwykły człowiek, który poprzysiągł sobie ochronić wszystkie dzieci świata od czarnego cienia wojny, nie miał tyle zapału, tyle woli, tyle siły.

Ilja Erenburg

*) Artykuł tłumaczony z pisma „Kultura i Zizn”, 31 grudnia 1950.

W 32 ROCZNICĘ ŚMIERCI „PORZĄDEK PANUJE W BERLINIE”

(Ostatni przedśmiertny artykuł Róży Luksemburg)



Róża Luksenburg

„Porządek panuje w Berlinie” — obywatelska triumfalnie burżuazyjna prasa, obwieszcza Ebert i Noske, obwieszcza oficerowie „zwycięskiej armii”, których burżuazyjna banda wita radośnie na ulicach Berlina powiewającymi chustkami i krzykami „hurra!”. Czesć i sława oręża niemieckiego przed sądem historii świata wratowana. Pokonani na polach Flandrii i w Agronach, zrehabilitowali się dzięki wspaniałemu zwycięstwu nad 300 spartakowcami w gmachu „Vorwärts”. Cząsy pierwszego sławnego wkroczenia wojsk niemieckich do Belgii, czasy generała Reinhardta i Co. na ulicach Berlina. Zabicie parlamentarzysty pragnących prowadzić rozmowy o zdanii się „Vorwärtsu”, bicie ich do nieprzytomności korbami, zmasakrowanie do tego stopnia, że nie można było rozpoznać trupów; rozstrzelanie jeńców w ten sposób, że ściany szpitala były mokre — czyż w obliczu tak sławnych czynów może ktoś jeszcze wspominać o haniebnych klęskach poniesionych w wojnie z Francuzami, Anglikami i Amerykanami? „Spartakus” — to wrogi, a Berlin — to miejsce, gdzie nasi oficerowie umieją zwyciężać. „Robotnik” — to wódz, który potrafi osiągnąć zwycięstwo tam, gdzie nie mógł dać sobie rady generał Linderdorff.

„Porządek panuje w Warszawie”, „Porządek panuje w Paryżu”, „Porządek panuje w Berlinie”. Podobne oświadczenia „obronców porządku” pojawiają się w każdym półwieczu — to w tym, to w innym centrum walki klasowej. Ale triumfujący „zwycięcy” nie spuszczają, że ów porządek, wzmacniany raz po raz krwawą rzezią, bezustannie idzie ku swemu historycznemu losowi, ku ostatecznej zagładzie. Co przedstawia sobą, co daje nam, czego uczą nas ostatni „spartakowski tydzień” w Berlinie? Jeszcze wśród walki, jeszcze wśród zwycięskiego szaleńczego kontrrewolucyjnego proletariatu wienien zbroi.

POMIMO WSZYSTKO!

(Ostatni artykuł Karola Liebknechta zamieszczony w „Rote Fahne” na krótko przed jego śmiercią)



Karol Liebknecht

Generalny szturm na „Spartakusa”. Na ulicach rozlega się wycie: „Śmierć spartakowcom! Ściągać ich, bij, kłuj, strzelaj, ranij, depcz ich nogami, na kawały ich rzuć!” Mnóstwo się zbrodni, wobec których błędnie wszystko, co wyczyniali żołnierze niemieccy w Belgii.

„Spartakowcy rozbici” — wrzeszczą wszystkie gazety, od „Post” do „Vorwärts”.

„Spartakowcy rozbici”. Szable, rewolwery i karabiny na nowo zorganizowanej policji niemieckiej i rozbrojeniu rewolucyjnych robotników dokonają reszty. „Spartakowcy rozbici”. Pod strażą bagnietów pułkownika Reinhardta, karabinów maszynowych i armat generała Lüttwittena odbędą się wybory do Zgromadzenia Narodowego, plebiscyt nowego Napoleona — Eberta.

„Spartakowcy rozbici”. Tak. Zabito setki najlepszych wojowników. Setki najofiarniejszych wprężono do wzięcia.

Tak. Rozbici. Dlatego, że opuścili ich i żołnierze, i marynarze i milicja ludowa, opuścili ich wszyscy ci, na których pomoc bezwzględnie liczili. Niezdolność i słabość przywódców kontrrewolucyjnej wal ołgupionych mas ludowych i klas posiadających zmiażdżył ich.

sobie rachunek wydarzeń, powinien zmierzyć wszystko co się stało wielką, historyczną miarą.

Czy w danym wypadku możliwe było ostateczne zwycięstwo rewolucyjnego proletariatu, czy było możliwe ocalenie Ebertów i Scheidemannów i ustanowienie dyktatury socjalistycznej? Z pewnością nie, jeśli się weźmie pod uwagę miejsce decydujące momenty. Cnora miejsce rewolucji, jakim była w danym momencie niedojrzałość polityczna mas robotniczych, które wciąż jeszcze pozostawały oficerom wykorzystywać się dla wrogich ludowi, kontrrewolucyjnych celów, była już sama dostatecznym warunkiem niemożliwości trwałego zwycięstwa. Z drugiej jednak strony ów brak uświadomienia mas robotniczych jest tylko symptomem ogólnej niedojrzałości niemieckiej rewolucji.

Wiesz, z której wywodzi się znaczna część masy robotniczej, jest jeszcze jak dawniej, bardzo muto poruszona rewolucją. Berlin jest nadal prawie izolowany od reszty Niemiec, wprawdzie bowiem rewolucyjne centra prowincji — w Nadrenii, na Pomorzu, w Brunszwiku, w Saksonii, w Wirtembergu — ciałem i duszą stoją po stronie berlińskiego proletariatu, ale wszystkimu temu brak jeszcze odpowiedniego stopnia zorganizowania, brak tej powszechności ruchu, która byłaby w stanie wzmożnić decydujące uderzenie berlińskich mas robotniczych. A przy tym walka ekonomiczna, owo główne walkiżnaczone źródło, z którego czerpie rewolucyjna walka klasowa, znajduje się tam dopiero w początkowym stadium rozwoju.

Ze wszystkiego tego wynika, że w danym momencie nie można było jeszcze liczyć na trwałe zwycięstwo. Ale czy nie należy stąd wywnioskować, że walka poprzedniego tygodnia była „pomyłką”?

Stojąc przed faktem podległ prowokacji Ebertów i Scheidemannów rewolucyjnej masy robotniczej był zmuszony chwycić za broń. Tak, nator rewolucji wymagał natychmiastowego odparcia owej napaści bez względu na ofiary, w przeciwnym bowiem razie kontrrewolucja nabrałaby odwagi do dalszych ataków, a rewolucyjne szeregi proletariatu i kredyt moralny rewolucji niemieckiej w Międzynarodówce zostałyby zachwiane.

Natychmiastowy opór wyrósł w berlińskich masach robotniczych z tak potężną siłą, że już od pierwszych dni zwycięstwo moralne było całonocne po stronie „Juliusa”.

Ale takie już jest wewnętrzne, dyktowane prawo rewolucji: nie wolno pozostawać biernym. Najlepszy sposób obrony to szybkie, zdecydowane kontruderzenie. To podstawowe prawo wszelkiej walki potwierdza się w rewolucji na każdym kroku. Zrozumienie tego świadczy o zdrowym instynkcie, o wewnętrznej, żywej sile berlińskiego proletariatu. Dlatego

też nie mógł on poprzestać na powrocie Eberta na swoje miejsce, i instynktownie przystąpił do ataku na inne gniazda kontrrewolucji: na siedzibę burżuazyjnej prasy, burżuazyjne biuro Wolfa, „Vorwärts”. Wszystkie te kroki mas robotniczych wypływały z świadomości, że kontrrewolucja ze swojej strony również nie poprzestanie na pomiesionej porażce i doprowadzi do generalnej próby sił obu obozów.

I tu także stojmy przed wielkim, historycznym planem rewolucji, o który rozbijają się wszystkie kombinacje i pseudoteorie owych naukowców „rewolucjonistów”, którzy w każdej walce szukają tylko sposobności do odwrotu. Należy jasno sformułować podstawowy problem rewolucji — w naszej rewolucji jest nim obalenie rządu Eberta — Scheidemann, jako pierwszej przeszkody na drodze do zwycięstwa socjalizmu. Ten podstawowy problem wypływa ciągle od nowa z całej swojej żywotnością; każdy poszczególny epizod walki wysuwa go z przyrodniczą wprost koniecznością w całej jego dostości, bez względu na stopień przygotowania rewolucji do jego rozwiązania, bez względu na charakter warunków. „Przecież Ebertem i Scheidemannem!” — hasło to stało się wypływające przy każdym rewolucyjnym kryzysie jako formuła ogólna wszystkim poszczególnym konfliktom. Dzięki swej obiektywności i konkretności hasło to, niekiedy nawet wbrew zamierzeniom, zastrzegało ostatecznych granic każdej poszczególnego epizodu walki.

Z tego przeciwnieństwa pomiędzy konkretną zadaniem, a braniem dostatecznych warunków dla jego wypełnienia w początkowej fazie rewolucji wynika to, że poszczególny epizod walki rewolucyjnej kończy się formalnie klęskami. Rewolucja jest jednakże specyficzną formą „wojny” — i prawem jej rozwoju jest to, że zwycięstwo jej, pewne i nieuniknione, przygotowuje owo może jedynie przez szereg wojennych „klęsek”.

Czego uczą nas cała historia współczesnych rewolucji i socjalizmu? Pierwszy płomień walki klasowej w Europie — powstanie trzasy robotniczej w roku 1831 — zakończyło się klęską. Ruch czartystowski w Anglii — klęską. Powstanie proletariatu paryskiego w czerwcu dni 1848 roku — tak samo. Cała droga socjalizmu — ulećkość moia o walce rewolucyjnej — usłana jest samymi klęskami.

A jednak mimo to, historia tych walk — widać nieprzerwanie, krok za krokiem, ku ostatecznemu zwycięstwu. Gdzie bylibyśmy teraz bez tych „klęsek”, z których czerpiemy doświadczenia historyczne, świadomość, moc i entuzjazm? Teraz, w przededniu rozstrzygających bojów klasowych opieramy się na wynikach tych klęsek. Wszystkie one bez wyjątku są dla nas ważne, każda z

nich jest częścią naszej siły i naszej świadomości.

Walka rewolucyjna jest w naszych warunkach zupełnym przeciwieństwem walki parlamentarnej. W ciągu ostatnich czterech dekad zwycięstwami w Niemczech ciągle „zwycięstwa” parlamentarne, służyły po prostu do zwycięstwa nad zwycięstwu. A jednak w rezultacie, w ułamek wielkiej historycznej próby 4 sierpnia 1914 roku ponieśliśmy nieuchronną klęskę, niestety nie jasko, bezprzykłądny upadek. Rewolucja natomiast dawała nam dotychczas same jedynie klęski, ale te nieuniknione klęski są napełnieniem gwarancją przyszłego zwycięstwa.

Jednakże pod jednym warunkiem. Idzie o to, w jakim ułożeniu miało miejsce przegrana: czy nastąpiła ona wskutek tego, że rzuca naprzód energia bojowa mas rozrzuca się o nieodpowiednie dojrzałe przesłanki historyczne, czy też dlatego, że działania rewolucyjna sparaliżowała sama siebie powściągnięciem, niezdolnością i słabością wewnętrznych.

Klasykowej ilustracji obu możliwości dostarcza nam francuska rewolucja lutowa z jednej, a niemiecka rewolucja marcową z drugiej strony. Bonaparte czynny proletariatu paryskiego 1848 roku stał się żywym źródłem energii dla całego proletariatu międzynarodowego. Natomiast uoostwo niemieckiej rewolucji marcowej nie odległogo w niczym od całej linii rozwojowej współczesnych „niemieckiej” jej wypływa da się wyznaczyć w ciągu całej historii ojczajnej socjaldemokracji niemieckiej aż do ostatecznych wydarzeń rewolucyjnych, aż do obecnego kryzysu.

Czym jest klęska tzw. „tygodnia spartakowskiego” z punktu widzenia opisanego powyżej historycznego prawa? Była to przegrana na skutek wyczerpania energii rewolucyjnej w nieodpowiednich warunkach, czy też wskutek słabości i powściągniętości działań?

Trzeba stwierdzić, że przywódcy nie stanęli na wysokości zadania. Ale przywódców mogą i powinni wydrzeć z siebie na nowo same masy, wyrastają oni bowiem w ich łoniach. Masy są elementem decydującym, one są tą siłą, na której opiera się nieuniknione zwycięstwo rewolucji. Masy zaś całkowicie dorosły do zadania. Przegrana „Spartakusa” uczyniła one kolejnym ogniwem tych historycznych klęsek, które są dumą i potęgą międzynarodowego socjalizmu. I dlatego to z „klęsk” tej wojny przyszedł zwycięstwo.

„Porządek panuje w Berlinie”. O tepe stęgu! porządek wasz jest zamkiem na lodzie. Rewolucyjna fala już jutro znów „podniesie się wzniosła” i dźwiękiem trąb ogłosi ku waszemu przerażeniu: Byłam, jestem i będę!

Róża Luksemburg
tłum. Jerzy Gładowski

LEONARD WALLICHT

HISTORIA JEDNEJ MŁODOŚCI

Należy ocalić z przeszłości to, co było dobre, a przezwyciężyć to, co było złe... I właśnie po to, żeby pomóc Niemcom przezwyciężyć przeszłość, napisana została ta książka... Takie zadanie wyznacza Bodo Uhse, współczesny pisarz Niemieckiej Republiki Demokratycznej swojej powieści „Synowie”, ostatnio w polskim przekładzie, wydanej przez „Czytelnika” 1). Powieść przedstawia ważny dla liżącego dziś blisko pięćdziesiąt lat pisańca, fragment jego wczesnej młodości. Bodo Uhse ukazuje tu ten moment swego życia, w którym zdobył dojrzałość polityczną. Książka mówi o walce, jaką pisańca przeprowadził w swej świadomości z militarystycznymi kategoriami myślenia.

„Współczesny militarystyczny wyznikiem kapitalizmu” — mówi Lenin. — W obydwu swych postaciach jest on „żywym przejawem” kapitalizmu: jako siła wojskowa, której państwo kapitalistyczne używa w starciach zewnętrznych i jako broń służąca w rękach klas posiadających do tłumienia wszelkiego rodzaju (ekonomicznego i politycznego) ruchów proletariatu”. Militarystyczny sprządały przesydy nacjonalistyczne, kulturowe i społeczne, które mają na celu odcłagienie mas proletariatu od ich własnych zadań klasowych i doprowadzenie tych mas do zapomnienia o obowiązku międzynarodowej solidarności klasowej. Lenin wyjaśnia następująco sprawę ojczyzny w międzynarodowym ruchu proletariatu: „Ojczyzna, czyli dane środowisko polityczne, kulturalne i społeczne jest najpotężniejszym czynnikiem w walce klasowej proletariatu. Dla proletariatu nie mogą być bez znaczenia i obojętne warunki polityczne, społeczne i kulturalne jego walki i losy jego kraju. Ale losy jego kraju interesują go tylko o tyle, o ile dotyczą to jego walki klasowej, nie zaś z racji jakiegos burżuazyjnego „patriotyzmu” 2).

Burżuazja niemiecka, która za wzniosłymi hasłami „wielkości” i „siły narodowej”, kryła swoje własne, klasowe interesy, posiadała w militarystycznym „wzduchnym” instrumencie reakcyjnej polityki. Apoteozą cesarza, kultem mundur, żelaznej dyscypliny i historycznych „wyczynów” pruskiego oręża, usiłowała w imię „dobra narodu” ujarznić proletariatu i uczynić go bezwonnym narzędziem w swym ręku. Chodziło o to, aby proletariusz nie dostrzegał w militarystycznym jego istotnego, wrogości klasie, robotniczej, obce, aby widział w nim natomiast gwarancję „wielkości” narodu. Za pomocą swej socjaldemokratycznej agencji w ruchu robotniczym burżuazja starała się przenieść kult imperializmu i militarystyczny do klasy robotniczej. Rzecz jasna, że zwycięstwo w tych warunkach przez proletariusza pełnej dojrzałości politycznej, które mogło nastąpić tylko po uświadomieniu sobie, że militarystyczny do ideologia dla proletariatu samobójczy i wcale nie reprezentująca interesów narodu — nie mogło być rzeczą łatwą. Czytając oparte na materiale autobiograficznym książki współczesnych, postępowych pisarzy niemieckich starszego pokolenia, opisujące drogę autorów do proletariackich pozycji ideowych, dostrzegamy, jak uporczywą i trudną walkę toczyli oni z ciasnymi, militarystycznymi schematami myślenia.

Hans Marchwita, który ukazał proces swego dojrzewania politycznego w książce „Moja młodość”, niemal do trzydziestego roku życia nie potrafił przezwyciężyć kultu cesarza i mundur. Trzeba było dopiero rozczarowań przyniesionych przez kilkuletni pobyt w okopach pod Verdun, by Marchwita dał zdecydowany i świadomy wyraz swej klasowej przynależności.

Inny rys militarystycznego zważający Bodo Uhse, który dojrzałość polityczną zdobywał również podczas pierwszej wojny światowej, ale z dala od frontu, w bliżej nieokreślonym mieście nadodrzańskim. Wojnę nie niemieckie zaplecze przeżywało psychicznie i gospodarczo gorzej niż front. W takich warunkach zaplecza miała możliwość wystąpić szczególnie wyraźnie ta cecha militarystyki, którą najdobitniej wyrazem są słowa rytu na cokołach pomników pruskich królów i wódzów: „Prusy doszły przez głód do wielkości”. Słowa te słyszały w licznych wariantach przez niemającego jeszcze piętnastu lat Bodo Uhse, stanowiący później niemałą przeszkodę w osiągnięciu przez niego postępowych pozycji ideowych.

„Prusy doszły przez głód do wielkości”. Sentencja ta znalazła swoje filozoficzne uzasadnienie w niemieckiej filozofii, a także w „nadszowieku”. „Nadszowiek”, członek wspaniałej i wadze rasy panów, powstaje właśnie przez przezwyciężanie „samego siebie”, przez surową „dyscyplinę wewnętrzną”. Oto czego nauczone młodego Uhse w szkole: „Nie czyń tego, co byś chciał czynić. Czyń, co czynić musisz. W wyrzeczeniu tkwi wielkość. Odmawianie sobie spełnienia swych życzeń czyni człowieka silnym”. O tym, że ta wymagająca wielu wyrzeczeń droga do wielkości była specyficznym usprawiedliwieniem wojny, nigdy i wojny — Uhse wtedy jeszcze nie wiedział.

Alte starszy od autora „Synów” o trzy lata Erxner zachwiał militarystycznymi przekonaniami młodszego kolegi. Uhse serdecznie zaprzeczył się z Erxnerem i szczerze przejął się jego idealami. Autor nie mówi wyraźnie kim był Erxner, jego działani-

ność jednak przekonuje, że był on komunistą. Cóż mówi Erxner? „Czy zastanawialiście się kiedyś, dlaczego właściwie wolność jest na górze, a nie na dole? Umieszczono ją na niedostępnym szczycie, aby nikt nie mógł się do niej zbliżyć. To jest to „najwyższe dobro”, po które na próżno wyciągamy ręce. I tak zrobiono z tego, co było tylko złem koniecznym, cnotę, ideal, dlatego, że w dolinach nie było wolności, kto się czuł wolny, uciekał w góry”. Erxner mówił więc coś całkiem innego, niż to, co mówiono w pruskiej szkole. Dla Erxnera dobrem była wolność, swoboda, nie wyrzeczenie. Zdobyć wolności kosztuje wiele ciar. Ale fałszywa jest idealizacja wyrzeczenia jako jedynego drogi prowadzącej do wolności. Tak Erxner wyjaśnił, czym jest dobro. Nie powiedział jednak, kto umieszczał wolność „na górze” i w jakim celu to uczynił. Toteż go Erxner poszedł na front, narrator stracił swój „pion”, wskazujący mu granicę między „dobrem” a „złem”.

Jednak rozmowy z Erxnerem nie przemieniały bez śladu. Pozostawiły w Uhsem sprzeczną w pojmowaniu dobra. Walka o usunięcie tej sprzeczności stanowi treść książki. Z jednej strony dobro ukazane przez Erxnera, z drugiej — dobro rozumiane jako niemieckie „wyrzeczenie”. I Uhse znalazł wreszcie prawdziwe dobro — walkę o wolność. Znalazł je u tych, którzy realizowali to, o czym mówił Erxner, u komunistów Fischera, Lizy, Bobbiego. Wyraz temu dla Uhse maszerując w dniach rewolucji niemieckiej w pierwszym szeregu tłum robotników żądających wolności, pokoju i chleba. Droga uformowana słowami Erxnera i miłością do Lizy zaprowadziła go po wielu latach na pola walk w Hiszpanii.

Jednak proces przemiany świadomości, mimo dobitnego przedstawienia punktu wyjścia i punktu dojścia przedstawia się niejasno. Do Fischera i Lizy trafił Uhse niewątpliwie przez świadomość przynależności do jednej klasy społecznej. Przyczynił się do tego wypadek z Kurtem Recke. Zdobył przez Uhse dojrzałość politycznej umotywowane jest uświadomieniem sobie przez niego podobieństwa do Kurta Recke. Ale jakiego podobieństwa? Kurt, syn ubogiej akuszerki, rozdał na ulicy gładym kobietom wóz chleba, przeznaczony dla wojska, a Uhse zdał sobie sprawę, że sam czyni podobnie jak Kurt, tylko trochę bliżej bierze o rżercha nielegalnie zdobyte kartki żywnościowe. Zarówno więc Kurt jak i Uhse, postępując sprzeczną z militarystycznym „wyrzeczeniem”. Obaj starają się nie gódować. Ale w tym sensie podobni do Kurta są również burżuazyjni synkowie Alfred Hellmann, Artur Holzapfel i Fryc Weidemüller. Przecież i oni korzystal z kartek Fischera. Czemu jednak Alfred widząc Kurta, rozdającego chleb sprowadza policję, a Uhse wraz z Fischerm bierze udział w akcji uwolnienia go z więzienia. Ważne w życiu autora książki osiągnięcie autorskiej solidarności klasowej nie zostało zatem należycie umotywowane.

Militarystyczne pojmowanie ofiary jako „dobra” nie zostało w pełni przedstawione w „Synach” jako filozofia wyższu, za pomocą której kapitalizm w imię swych sprzecznych z interesami klasy robotniczej żądań, maskowanych „wielkością” i „siłą państwową”, legalizował nędzę proletariatu i usiłował zeń uczynić bezwolne narzędzie w swym ręku. Autor nie zinteretował klasową pojęcia „wyrzeczenia”. Czytelnik nie wie, dlaczego autor potępia pruską „ofiary”, gotów jest sądzić że złem, jako przeciwieństwem wolności jest każde wyrzeczenie, każdy obowiązek, nie tylko ten militarystyczny, ale i ten ponoszony przez klasę robotniczą dla własnego dobra. Autor nie przedstawiał militarystyzmu do końca jako narzędzia ucisku proletariatu, nie pokazał jego klasowego w kapitalizmie ostrza.

Powieść Bodo Uhse jednak, przedstawiając całą trudność przezwyciężenia militarystycznej ideologii, przekonuje, że można ją przezwyciężyć w sposób zdecydowany i bezkompromisowy. Wskazuje na rzeczywistych, z krwi i kości przedstawicieli militarystyki, na faktycznie nie zainteresowanych. I mimo, że tego zainteresowania burżuazji militarystyzm nie motywuje, przyczynę jest znacznie do wzbudzenia zaufania do Niemiec-kiej Republiki Demokratycznej, bazującej właśnie na tych, którzy tak jak Bodo Uhse, uznali militarystyzm za zło. Co przynosi książka Bodo Uhse polskiemu czytelnikowi, którego sprawy niemieckie tak żywo obchodzą? Ukazując takie postaci, jak Erxner, Fischer i Liza, naprawdę piękne sylwetki niemieckich bohaterów o wolności i pokój, powieść nie pozwala ułóżać narodu niemieckiego z hitlerowskimi barbarzyńcami.

Uhse wzbudza wiarę w możliwość pokojowej współpracy z nowymi, miłującymi pokój Niemcami. Czytelnik polski wie, że młodzież Niemieckiej Republiki Demokratycznej wychowywana jest dziś w duchu internacjonalizmu i socjalizmu. I dlatego czytelnik polski wierzy w trwałość przyjaznych stosunków polsko-niemieckich.

Leonard Wallicht

1) Bodo Uhse, „Synowie”. Przeł. żyła Teresa Jętkiewicz. „Czytelnik”, 1950, str. 280.

2) W. I. Lenin. O walce przeciwko wojnie imperialistycznej. „Książka i Wiedza”, 1950.

Józef Mozga

Popatrzcie na moje 25 lat błędzenia i walki

Zamieszczamy poniżej odpis przemówienia Józefa Mozgi, jakie wygłosił on na noworocznej biesiadzie członków spółdzielni produkcyjnej w Godzianowie.

Nie jest to więc artykuł, a wypowiedź, wyjęta z wewnętrznego życia spółdzielni. Czytelnicy nasi znają szczegółowo dzieje walki klasowej w Godzianowie.

Do historii Godzianowa dochodzi nowy rozdział. Dawny „stamowice” wiciarzy — opowiada swój życiorys społeczny, podobny do innych stamowców wiciarzy w Godzianowie a także i w wielu innych wsiach.

Jest to jakby potwierdzenie biografii z antykiety Młodego Pokolenia Chłopów (ogłoszonej w 1937 r.) i dopisanie jej dalszego ciągu przez dawnego wiciarza ludowca — maitorolnego chłopca. Ale w tym powtórzeniu i dopisie oglądamy rewizję założeń i poglądów, jakie leżały u podstaw rozpaczyliwych obrazów życia większości Młodego Pokolenia Chłopów.

Mozga był w Polsce kapitalistycznym, w Polsce faszystowskiej działaczem społecznym, spółdzielcą i oświatowcem wiejskim. W tych granicach utrzymywał go wpływ „Wici”. Poza nurtem bezpośredniej walki politycz-

nej, poza nurtem walki rewolucyjnej, której celem było wydranie władzy burżuazji i obalenie kapitalizmu.

Zyciorys swój przypomina towarzyszącemu — rówieśnikom, dziś kolegom — spółdzielcom dla rozpatrzenia dróg, na których wspólnie błędzili nie rozumiejąc dobrze kapitalizmu i walki i roli klasy robotniczej.

Przypomina jak na ostatnim, powojennym etapie, obciążeni starym bagażem ideologicznym, z mozołem dorabiali się i dorabiają jako ludowcy socjalistycznej świadomości i rewolucyjnego sojuszu z klasą robotniczą.

Jest to zatem i wyznanie osobiste. Złożone, najpierw w kręgu towarzyszy walki o spółdzielnię produkcyjną w Godzianowie, następnie w kręgu czytelników „Wsi” a ten, w jeszcze szerszym kręgu walczących o pełne zbudowanie socjalizmu w Polsce.

Wypowiedź Mozgi jest więc z natury swojej dyskusyjną. I trzeba, aby wywołała dyskusję. Niechże inni towarzysze walki określą i ocenią ten stopień świadomości klasowej i politycznej. Niechże się można każdym nowym osiągnięciem ale żądać trzeba określonego przez aktualny etap walki o socjalizm.

REDAKCJA

Drodzy Koledzy i Towarzysze walki!

Wiem, podobnie jak i wy, że walka o społeczeństwo nie była łatwa. Prowadziliśmy ją etapami, niesposób było brać się od razu za wszystko. Przed dwoma laty rozpoczęliśmy dopiero oczyszczanie przepaści dla szerszej działalności. Obsadzaliśmy szkoły, poczęliśmy, spółdzielnie samopomocową, niezaradczą, organizację społeczne i polityczne — naszymi ludźmi, wyrosłymi z biedoty chłopskiej i średniaków. Walczyliśmy następnie bezpośrednio o wies. Udało nam się odrosnąć prawdę o kulkach. Zdemaskowaliśmy ich perłowe metody działalności, izolowaliśmy ich społecznie, ugrunтовaliśmy we wsi wiary w siły postępu. Mamy zupełnie prawo przypominać sobie z dumą minione lata walki, lecz w nich trau, wysiłku, niezmordowanej i pełnej poświęcenia pracy — was wszystkich. Wyszczególniamy, obśmiewamy, ignorujemy, okrutnie, groźno rewolwerem, anoniemami, nasze zamawiały w nadziei, że to pomoże przy usunięciu nas z tego świata, a przecież dziś większość naszej wsi, a nawet okolicy uznaje nas za prawdziwych przyjaciół. To wszystko prawda.

Ale zabierając głos chciałbym dlatego na wstępie przypomnieć nasze zebanie — egzekutywy wiejskiej komisji PZPR i ZSL w Godzianowie, 10 grudnia, kiedy Rada Naczelna ZSL ustalała wytyczne dla pracy stronnictwa na etapie budowy podstaw socjalizmu w Polsce. My wówczas mówiliśmy o sojuszu robotniczo-chłopskim, o przodujących, kierowniczej roli klasy robotniczej i Partii. Oto dlaczego możemy być dumni, oto dlatego mamy pracującego chłopstwa uważają nas w okolicy za prawdziwych przyjaciół!

*

25 lat temu stawiałem pierwsze kroki w działalności społecznej na wsi. Nie miałem kawału czasu, tym więcej, że dzieje biegi w ostatnich dziesiętniach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wiciowy, znałem różne poglądy chłopskie na rzeczywistość społeczną, walczyłem za rozmaite ludowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dzisiejszych spółdzielców zna się od najwcześniejszego dzieciństwa. Bawiliśmy się razem, razem pasaliśmy bydło i chodziliśmy do szkoły. Franek Kowara, Józef Dura, Olek Petryna — całe dziesiątki można by tu nazwać. Przypominamy sobie z tamtych dawnych lat: z czego najbardziej bywały dzieci dumne?

— A nasz tata ma dwa konia, a wasz nic!

— A mój kupił kiera, a wasz nie!

— A u nas są trzy krowy, a u was tylko jedna!

— A mnie tata kupił buty na skórzanych podszewkach! itd itd. Były to najbardziej pasjonujące rozmowy, gdy chodziło o zdobycie społecznego uznania w gromadzie wiejskich dzieciaków. Czyżby to dzieci wpadły na pomysł, żeby znaczenie społeczne wprowadzać ze stanu materialnego posiadania? Taka bolesna „zabawa” uprawiana była przede wszystkim przez starszych. W szkole nasza „pani” lubiła i wyróżniała dzieci bogatsze, a bogaci rodzice wyróżniali pania nauczycielkę. Książkę po koleżeńce tylko do bogatszych zaglądał, dlatego w niewiele chatupach na naszej wsi oglądano „jęgonoski”. Na weselu lub chrzciny za siodłane rzeki przyjeżdżały uroczyste witany bogaty krewniak, a ubogi krewny, najbliższy sąsiad do rodziny dostępnego już nie miał. „Ciepłszy” wygrzywał sprawę w sądzie o działki rodzinne, bogatego jednaka do wojska nie brał. To był świat widziany jeszcze oczyma wiejskiego chłopaka. Patrzyło się na zabieg ojca w zdobywaniu bogactwa nie rozumiejąc, że można paść samemu ofiarą tej walki. Zyczyło się nawet ojcu powodzenia.

Zmieniłem zdanie dopiero w chwili, kiedy mój rodzony brat zabił mnie po twarzy za to, że zwróciłem się do niego z prośbą, by kupił mi kawałek materiału na pierwsze w moim życiu długie spodnie. Zrozumiałem wtedy, że jestem mu ciężarem, przeszkodą w dorabianiu się, że muszę ustąpić, inaczej nie będzie on bogaty. I ustąpiłem pod przymusem. Miałem wtedy szesnasty rok życia. Oznajmiono mi, że ojciec pozostawił mnie bez oparcia w morgach, polecając oddać do terminu.

Przyszan, że doznawałem od ludzi dużo współczucia i litości, wielu obrudnych uczuć, które rodziły się wtedy, kiedy opadał jeden z konkurentów w walce o podział dóbr na niewielkim rynku naszej wsi.

Wypadało mi potem, jako terminatorowi, jeżdżąc do powiatowego miaszeczka za sprawunkami dla siebie. Widziałem nieraz przed magistratem gromady bezrobotnych, wyczekujących na zasiek. Wydawało mi się wtedy, że przejeżdżając obok tych biedaków chłopów na wydławanym znozem wozach, nie miałem nawet dla nich ciepłego spojrzenia. Patrząc na bezrobotnych, czułem się znacznie od nich szczęśliwszy. Ich nie przyjęto by nawet do terminu. Mnie natomiast, choć byłem gościem, majster przyjął, ponieważ pochodziłem z gospodarstwa, a więc miałem poszanowanie dla „świętej” własności. Pierwsza lekcja w krawieckim fachu udzielona mi przez pana majstra, dotyczyła właśnie owego szacunku dla własności.

Terminowałem na wsi, stąd też nie rozstałem się z Wami. A i dziś jesteśmy razem i radzimy nad sojuszem tych spod magistratu z chłopami, którzy wówczas posiadali jeszcze spore gospodarstwa i niezłego konia, a po latach, mimo rozpaczliwej pogoni za dorobkiem — pozostali bez konia, na małych skrawkach ziemi, rozrzucając dzieci po służbach u bogaczy. Dlatego wypadł im taki los? Książkę powieści pewnie, że za dużo grzeszyli za mała modlił się. Ale to nieprawda — na grzeszne życie czasu nie starczało, do kościoła chodzili. Nasz bogacz okoliczny czy wioskowy rzekł by zapewne, że byli leniwi. Także nieprawda. Lata całe harowali, próbowali oszczędzać, dokupić, pobudować się, powiększyć przychówek. Nie wychodziło.

*

Należymy do najstarszych — jak sądzę — dawnych wiciarzy, pierwszych równocześnie członków tej organizacji. Ruch młodowiejski to pierwsza instytucja, przy pomocy której zdobywali się wiedzę o rzeczywistości, to poznawali konflikty społeczne i drogi ich rozwiązywania.

Był rok 1925 kiedy zapisałem się do Koła Młodzieży Wiejskiej. Zetknąłem się na nowo po dłuższej przerwie z gazetą i książką. Na których zebraniu stwierdziłem z przerażeniem u siebie wtórny analfabetyzm. Nie umiałem zacytować fragmentu z gazety. Siodłano po mnie biły, kiedy przyszło mi mozolnie składać zdania, których zresztą nie rozumiałem.

W 1928 roku powstały opozycyjne nastawione „Wici”, które pociągły za sobą co radykalniejszą młodzież chłopską. Przy „Wiciach” utrzymywała się wtedy grupa postów z „Wyzwolenia” i „Stronnictwa Chłopskiego”. Pracowaliśmy — wielu z Was pamięta — „od podstaw”. Budowaliśmy w naszej wsi fragment „rzeczpospolitej” spółdzielczej. Drobne spółdzielnie spożywców, mleczarskie, kasy pożyczkowe — miały stawić czoła fabrykantom, bankierom i kapcom. Liczyliśmy, że szczęśliwie wyminie kapitalizm, nie wpadniemy po drodze w socjalizm, lecz szczęśliwie dojdziemy do trzeciego ustroju — spółdzielczego. Cieszyliśmy się wszyscy, że mamy u siebie na wsi (jeden z pierwszych w okolicy) sklepik spółdzielczy, który rugował pośrednika, ale zaopatrywał się u prywatnego hurtownika.

„Wici” budowały spółdzielczość, która miała wyrwać chłopów z biedy i „zgnieść” kapitalizm. Znać koledzy

dobrze te spółdzielnie. Poszukajcie w pamięci — czy znajdziecie w naszych stronach spółdzielnię nie kierowaną przez bogaczy? Warto by pokusić się o sporządzenie odpowiedniej statystyki. Wszędzie bogaci i „wiczyski” kierownicy. A stosunki wewnątrz spółdzielni? Pan prezes naszej mleczarni zarabiał przed wojną 100 do 150 zł. miesięcznie. Pan prezes pracował kilka dni w miesiącu. Pracownik natomiast otrzymywał 30 do 40 złotych a harował codziennie. Prezes miał aż nadto dużo czasu, aby dopatrzyć swego gospodarstwa. Za 100 złotych można było zatrudnić codziennie przez miesiąc 4 „murzynów”, licząc przyjętą wtedy dniówkę na 80 groszy. Jakże gorzko wypada mi tu wspomnieć, że „murzynami” bywali nierzadko najgorzalsi wyznawcy walki z... kapitalizmem przy pomocy spółdzielni.

Przyszan, że mnie idea spółdzielcza urzekła. Walczyłem o nią w kole młodzieżowym. Zdecydowałem się na pracę w spółdzielni, mimo ostrzeżeń żony, która nie mało naharowała się u spółdzielców — kulaków. Ostrzeżenie okazało się słuszne.

Zdarzył się w naszym życiu wypadek, który przemienił w znacznym stopniu mój światopogląd. Wypadek, który Koledzy znacie, choć zapewne nie przywiązałem do niego większej wagi. W czasie mojej służby wojskowej zona moja pracowała w spółdzielni jako sklepowa. Pracę tę przyjęła pod moim naciskiem, zapalonego wówczas spółdzielcy. Praca nie łatwa, bez wolnych niedziel i świąt. Zdarzyło się, że zona miała rodzic. Przy tej okazji wyszło na jaw, że przepisy pracy w naszej spółdzielni nie przewidywały takich wypadków. Rankiem, po otwarciu sklepu, zorientowała się zona, że już na nią czas. Zamknęła zatem sklep, wsiadła na furmankę i w wielkich boleściach dotarła do szpitala. Po drodze spotkała mnie maszerującego w kolumnie na plac ćwiczeń. Kucyka z wozu klucze od spółdzielni prosiąc, bym wziął kilka dni urlopu i zastąpił ją w pracy, ponieważ jest w konflikcie z placową służbą i straci pracę, jeżeli zastępcą natychmiast się nie pojawi. Porucznik na szczęście nie odmówił. Po kilku dniach zona pozostała samotne dziecko w domu a ja stanąłem w szeregu.

Tak zaczęły opadać piórka z „gmacchu” rzeczpospolitej spółdzielczej, której byłem zagorzałym entuzjastą. Rozpoczął się u mnie okres gorączkowych poszukiwań źródeł, jak się to w „Wiciach” mówiło — zła. Był to okres jakiegoś zadumy nad elementarnym charakterem człowieka, pojnowanym ogólnie. Ludzie byli dobrzy albo źli. Wszyscy jednak w naszym przekonaniu mogli stać się dobrymi. I ci, co mieli po dwadzieścia i więcej hektarów i ci, którzy zimą kradli płoty na opa — najwięksi naderżacie więcej. Zgodnie i po bratersku wychowywaliśmy się w kolach wiciowych. Ale nie wszyscy. Do wielu kół nie przyjmowano parobków. Widać to było zwłaszcza w łówickim. W ewidencji naszego koła na przestrzeni kilkunastu lat doszukiwałem się zaledwie dwóch służących, za to bogackich synów nie brakowało. Jako czynny młodzieżowiec przeszedłem wyższy stopień tajemniczenia wiciowego na Uniwersytecie Ludowym w Gaci Przeworskiej, tej centralnej szkole młodowiejskiego ruchu. Wyjaśnił mi się tam schorzenia w naszym aparacie spółdzielczości wiejskiej. Sądziliśmy wprawdzie, że przyszłowi przed wojną „problem nędzy i zła” wyjaśnią nam wyznawcy w szerszej społeczno — gospodarczej strukturze, ale o tyle się nie zawiodłem, że dostałem receptę na rozwiązanie tego problemu. Zwiększo go do prostego, nieomalże ewangelicznego schematu dobrego i złego człowieka. Idźcie na swoją wieś, kolego Józefie, i robcie dobrych ludzi — takby się dała krótko streścić cała edukacja. Wyśniewiona stamtąd „dobrość” spalała się w życiu na popiół, a i popiołu nawet po niej nie pozostawało. Człowiek, jak i wy — Koledzy, wielu z naszej wsi skazanych było na bezwzględna „walkę” wszystkich przeciw wszystkim — jak mówił Engels, na walkę, nazywaną „szlachetną”, wolną konkurencją.

Wygnął mnie z domu ojciec, brat zabił po twarzy, kiedyś się o swoje chciały upomnieć — jak to rozumieć? Żli ludzie? Tego ja nie powiem, ani wy nie powiecie. Była to walka o ziemie, w której brat dla brata jest niebezpiecznym konkurentem, w której znikają wszelkie więzy rodzinne, zwycięża chęć zysku. Powiecie dziś, że to zjawisko związane nierozwinięciem kapitalizmu na wsi. Słusznie. Pomiał mój mistrz krawiecki, tak jak mój — żonę pan prezes spółdzielni. I to na-

zwiecie prawidłowością życia w ustroju kapitalistycznym. Słusznie. Nie w „naturze” zatem człowieka tkwi jego stosunek do drugiego, lecz w strukturze społeczno — gospodarczej. Tak to dziś rozumiemy. Kulak, przedsiębiorca utrzymuje się na zasadzie kapitalistycznego wyzysku.

Odpowiedzieć jednak — kto nas nauczył rozpoznawać elementy kapitalizmu? Bywałem nieraz w życiu bez pracy, tułałem się beczynnie po wsi, próbowałem zahaczyć i w mieście, doznałem wielu zawodów i upokorzeń, a jednak nie mogę powiedzieć, że mnie sam spontaniczny potok życia nauczył rozumieć kapitalizm. Mówię wam o swoim życiu, żeby pokazać, że jakiegokolwiek przed wojną chwytaliśmy się w naszych warunkach ideologii, która w swoim przedłużeniu nie wiązała się z ideologią rewolucyjnej klasy robotniczej, zawsze nas prowadziła na manowce. Ale powiecie, że czymś realizowali rzeczpospolitą spółdzielczą, strajki chłopskie — kapitalizm pozostawał. Owszem, ale robiąc „rzeczpospolitą” spółdzielczą” gubiliśmy drogę wyjścia do cna. Robiąc zaś strajk rolny, wchodziliśmy w przedświt rewolucji. Szliśmy już w sojuszu z robotnikami i pod ich bezpośrednim wpływem. Jeszcześmy wyników nie widzieli. My, chłopci, niełatwo dający się się przekonać, jeszcze nie widzieliśmy zwycięstwa i dlatego gubiliśmy różnicę, jaka dzieli spółdzielczość w kapitalizmie, od strajku chłopskiego w kapitalizmie. Jeszcześmy nie pojnowali, że to pierwsze, póki kapitalizm jest, zrasza się z nim, a to drugie walczy z kapitalizmem, uderza w niego i tylko po tej drodze, coraz silniej, coraz szerszej bijąc, rozwalamy naszą niewolę. Więć was pytam, przypominacie sobie, kto widział wówczas po tej drodze? Kto niezłomie wskazywał, kto na niej walczył w śmiertelnych zapasach? Klasa robotnicza, partia rewolucyjnego proletariatu!

*

Czytawłem „Wici” i „Wyzwolenie”, niekiedy także i „Wolnościściela”, który dosyć wyraźnie określał rolę kleru i Wiatyku na polityce światowej. Stąd też zapewne mój wiciowy antyklerykalizm. W bibliotece Koła Młodzieży Wiejskiej, w bibliotece w Jarzynie, czy „W Grzmieję”, które konkurowały z Sienkiewiczem. Czytaliśmy je z niemniejszym zapalem niż Trylogię. Zmieniały one niewątpliwie w jakimś stopniu mój i moich kolegów światopogląd, ale jedno jest przymtem pewne — cały nasz kompleks wiciowej lektury nie wyjaśniał istoty kapitalizmu.

Tymczasem Olbrzymek robotnik i rewolucjonista jeszcze przed pierwszą Wielką Wojną Światową czytał „Kapitał” w warszawskim więzieniu. W Związku Radzieckim realizowała klasa robotnicza wielkie plany budowy socjalizmu, działał Lenin, działał Stalin. Wiedzieliśmy w naszej wsi bardzo niewiele o tym. Ludzie „spod magistratu” od lat walczyli pod czerwonymi sztandarami, strajkowali, toczyli boje z aparatem burżuazyjnej przemocy na ulicach Łodzi, Warszawy i Krakowa. Tak zresztą walczyli międzynarodowy proletariatu. Była to przecież walka z kapitalizmem, w dobie imperializmu. Bez tej walki i zwycięstwa nie moglibyśmy dziś założyć w naszym Godzianowie spółdzielni produkcyjnej. Klasa robotnicza wyprowadziła nas conajmniej o pół wieku. My tymczasem byliśmy może i bezwiednie sojusznikami burżuazji, mimo tego, że szliśmy w olbrzymiej większości do nędzy i upadku.

Wspomnę nasze rozmowy o postępie gospodarczym na wsi. Przewidywaliśmy, że postęp przyjdzie musi. Mówiliśmy nieraz, że trzeba będzie wprowadzić do produkcji rolnej nowoczesne maszyny, marzyliśmy o stworzeniu w przyszłości prywatnych ośrodków maszynowych, dzięki którym będzie można się bogacić. Prywatnych, a więc drobnokapitalistycznych. W okresie wojny i okupacji zawiązało się u nas i w okolicznych wsiach niemało załóg takich przedsiębiorstw maszynowych. Marasek, Topolski, Sobieszek, Karasek, Petrynowski, Jagielski — oto znane jeszcze i dziś firmy — prawda? Znane jako filary produkcji, podpory naszej spółdzielni produkcyjnej? Nie! Znani jako najwierniejsi sojusznicy burżuazji. I oni reprezentowali naszą wieś na zewnątrz, decydowali o wewnętrznych sprawach Godzianowa i okolicy.

Wspominam gorzko najcięższy okres mego życia: oto zona pracująca 365 dni w roku w spółdzielni, oto ja sam noszący skrzynki do magazynu spółdzielczego pod okiem pana przedsię-

biorcy, właściciela firmy maszynowej. Myśmy wypieścili w wiciowych marzeniach „rzeczpospolitą” a oni jej nadal burżuazyjną treść. W latach wojny, przewidywaliśmy na przyszłość postęp techniczny na wsi, ale równocześnie oddaliśmy organizację tego postępu w ręce „przedsiębiorców” — bogatych chłopów.

W czasie wojny i okupacji byłem żołnierzem Batalionów Chłopskich. Zyla u nas wszystkich nieokreślona nadzieja na lepszy los w przyszłej Polsce. Mówiliśmy sobie — niepodległość — sprawą najważniejszą, potem przyjdzie czas na politykę. Jakże się musiał cieszyć z takiego stanowiska nasz najwierniejszy do dziś dnia wróg, wrog klasowy.

Schlebiano nam bechowcom, bywało — braliśmy od bogaczy pieniądze na nasze cele, w łówickim tu i ówczas „współpracowałem” z nami sam dziedzie lub dzierzawca. Czy to było budowanie potęgi Polski, kształtowanie „jedności w obliczu wroga”, czy to była zręcznie zamaskowana walka o uczyńnienie z nas, z naszego ruchu, sojuszników burżuazji, a więc cholerna polityka jeszcze i właśnie przed faktem uzyskania wolności.

Dziś możemy sobie z dumą powiedzieć, że doświadczeni ciężkimi iatami międzywojennymi, próbowaliśmy się odciąć od bogaczy wiejskich. Niejako poomacku rozpoznawaliśmy swego wewnętrznego wroga, ale równocześnie rzeć mi wypada — nie doszukiwałem się w czasie wojny świadomości i w pełni prawdziwego sojusznika.

Mozna powiedzieć, że zwłaszcza u schyłku wojny, uprawialiśmy podwójny ruch oporu. Walczyliśmy z faszystowskim najeźdźcą i próbowaliśmy skurczyć i ograniczyć nasze siły od burżuazji chłopskiej.

Należę do grupy „stamowców”, przedstawicieli biedoty godzianowskiej, która wybudowała dom dla nauczycieli, walnie przyczyniła się do otwarcia średniej szkoły ogólnokształcącej w naszej wsi. Wielkie to osiągnięcie, ale nie obyło się bez błędów.

Rozpocząłem naukę od pierwszej klasy gimnazjalnej, jeszcze w czasie okupacji. Liczyłem sobie wówczas 30 wiosen życia i miałem zaledwie cztery oddziały szkoły powszechnej poza sobą.

— Nie dziwił mi młodemu — mawiał ludźle po wsi — ale taki stary, zamiast zająć się jakąś przyzwotą robotą, to się do nauki rychno w czas zabrał.

Co do mnie, myślałem, że wszystkie zawody jakie doznałem, jakie z Wami dzieliłem, wynikały z „braku „uświadomienia”. Ale uświadomienie rozumiałem jako pewną „sprawność” w ocenie sytuacji społecznej, uzyskując na ławie szkolnej. Chcieliśmy wszyscy „zdobywać świat”, jako grupa uświadomionych przez oświatę.

I znowu zawód. Buntowaliśmy się przeciw nauce, w której Mickiewicz okazywał się fanatycznym klerkiem, Słowacki wyłącznie mistyką, Szela „zbuntowanym chamem”, a ustrój rakietowy „niewiedomym” eksperymentem itd.

Szkola okazała się instytucją burżuazyjnego wychowania, o szkołę trzeba było walczyć.

*

Po wojnie wypracowaliśmy nową koncepcję rozwoju stosunków społeczno — gospodarczych na naszej wsi. Można by ją określić jako naszą własną, godzianowską drogą do socjalizmu. Był to osobliwy zlepek dawnych, zastarzanych przekonań ludowców, zresztą przystosowanych do współczesności. Postanowiliśmy odgródzić się od bogaczy, od wszelkiej burżuazji i budować wyłącznie przy pomocy biedoty socjalizm. Nie rozumieliśmy, że nie można się odgródzić od burżuazji bez sojuszu z robotnikami. Zresztą samo życie pokazywało, że nie ma jakiejś „własnej” biedniackiej, samotniczej drogi do socjalizmu. Małutko, a mimo faktu istnienia spółdzielni, przeszlibyśmy na burżuazyjne pozycje.

Wspominam nasze pierwsze, nieorganizowane zebrania. Mówiliśmy: oto Polska już jest, padł faszizm, z miast wymieciono fabrykantów, w ich pałacach zamienionych na domy kultury wyrastają nowe pokolenia robotnicze, a tylko u nas po staremu. Bolek Mieszka walczy, jak przed laty z przeciwnościami, węgietuje w nędznej chatupinie, orze co roku swe poletko w cieniu plebanii. Nic się nie zmienia.

Wspominam nasze pierwsze działania. Nie powiodły się. Sądziliśmy, że wróg klasowy, który używa na każdym kroku hasła solidarystycznych i apolityczności — będzie na gruncie politycznym słaby. Jakież gorzkie rozczarowanie! To my byliśmy słabi. Wystąpiłem przeciw miejscowym panom przedsiębiorcom, próbowałem obniżyć ich oblicze klasowe, wyzysk w stosunku do parobków. Mówiłem o wyposaźnianiu maszyn za nieludzkie ceny, o motocyklu, którym objeżdżał pole, doglądając służby, o szacherkach w spółdzielni jeszcze przed wojną. I co z tego, kiedy mnie wyszczuto ze wsi, obrzucono plotką, sam Bóg „list Boży” przeciwko mnie i wam napisał.

Była przy nas racja, a jednak nie mogliśmy jej wygrać. Myśmy znów nie walczyli politycznie. Myśmy się nie bili politycznie z Mikołajczykiem. Ot, co!

A przecież w kraju dokonywała się rewolucja pod przewodnictwem Partii. Rewolucja i Partia dotarły szybko do naszej wsi. Pamiętacie wystąpienie tow. Sosnowskiego ze skierowniewickiego komitetu Partynego. Zjawił się w najgorzej dzień dla nas chwili, nocą po kiepskich drogach przybył nam na pomoc. Prowadziliśmy wtedy atak, zmierzają-

cy do nadania właściwego oblicza politycznego naszemu gimnazjum. Zdało się, że sprawa jest już przegrana. Już zręczne wypowiedzi nauczycieli łamały opór ZMP-owców. Już miano zgodzić się, że szkoła jest z konieczności solidarystyczną i apolityczną instytucją.

Siedziałem przynębiony w końcu sali, kiedy niespodziewanie dla mnie (nie zauważyłem jego wejścia) przemówił tow. Sosnowski. Cała moja i Wasza przeszłość stanęła mi przed oczyma.

Pamiętam jeszcze dziś poszczególne zdania: „...płomień rewolucji ogarnął cały kraj, dzie ku wam... za wami stoi bohaterstwo proletariatu. Uczyńcie krok ku socjalizmowi — a poczucie nasza się.

Nie o tym chcę mówić że ze szkoły wyszła jedna z pierwszych myśli o spółdzielni produkcyjnej w Godzianowie, ani o tym, że rozrasta się dziś — nasza wspólna — дума — komórka ZMP-owska, a na wsi komórka Podstawowej Organizacji Partyniej.

Powroćcie na wieś — ale i to nie jest ważne.

Czy nie uderza Was koledzy fakt, że pierwszy uczyniony przez nas krok w stronę Partii i socjalizmu, spowodował taką przemianę stosunków, o jakiej całe wcześniejsze lata darmo by marzyć?

Ten krok nie był łatwy. Półtora roku temu powstała komórka partynia w Godzianowie. Mówiąc szczerze nie dość wierzyłem w jej siłę, tak było przynajmniej na początku. Patrzyłem ją a i Wy nie inaczej — personalnie na najmłodszą w naszej wsi organizację. Czegóż to wielkiego może dokonać cichy wóz gimnazjalny, który prawie trzy lata konspirował przed wsią przynależność do Partii? I cóż może zdziałać listonosz, najmienniejszy wegetujący chłop na lichym skrawku ziemi. Z lekceważeniem patrzyło się na pierwszych przedstawicieli Partii.

Albo potem, sprawa przyjęcia do spółdzielni produkcyjnej tow. Czuby, woznego w gimnazjum i I-go sekretarza naszej Podstawowej Organizacji Partyniej. Zasiłaliśmy się najwyżej w świecie trudnością natury formalnej. Czuba — robotnik rolny otrzymał za żonę 1 ha ziemi. Nie w naszej wsi, w tym fakcie leżała w opinii wielu, trudność w przyjęciu go do spółdzielni produkcyjnej. Zona Czuby całe lato haruje u bogaczy. Za utrzymanie krowy zimą w doborze ojcowca na własnej paszy, musi oddać ojcu całego bydła. Stawialiśmy Czubie trudności, najwierniejszemu pracownikowi Partii i spółdzielni. Zachowywaliśmy się jak posiadacze, którzy nie chcą przyjąć do swego grona nieposiadającego. A równocześnie niektórzy z pośród nas gotowi byli mówić o przyjęciu do kolektywu bogacza wiejskiego. Takie są zawsze skutki „własnych”, samotniczych dróg do socjalizmu. Małutko, a mimo faktu istnienia spółdzielni, przeszlibyśmy na burżuazyjne pozycje.

A jednak? Pamiętacie — w okresie największego nasilenia walki klasowej, kiedy to z całym aparatem kulturalnej propagandy, plotki, szantazu i sabotażu nie dawaliśmy już sobie rady, jakże chętnie przebywaliśmy w gronie robotników z Rudy Pabianickiej, starych i wytrawnych bojowników, znających się aż nadto dobrze na chwytach wroga klasowego. Czuba ze łzami w oczach witał pierwszych robotników w naszej wsi. A my? My dopiero wtedy zaczęliśmy sobie zdawać z tego sprawę, że w walce o socjalizm robotnicy wyprzedzają nas o dziesiątki lat. Ze przy nich jest wiedza, doświadczenie i niezłomna wola.

Przyszedł niedawno temu paromorgowy chłop z Zapad do sekretarza Podstawowej Organizacji Partyniej i skarżył się, że przy skupie zboża skrzywdziła go trójka gminna, składająca się z „ludowców”. Wyznaczono mu mianowicie tak wielką ilość zboża do oddania, że ani mowy o tym, by mu starczyło na chleb. Partia sprawdziła „ludowców” listy — zgadzało się, biedniaków wymierzono za wiele. Ale przy okazji ujawniło się, że sprytna trójka wyciągnęła do akcji najbiedniejszych spośród biednych, nie branych w ogóle w rachubę, obniżyła natomiast normy dla najbogatszych.

Fakt, drodzy przyjaciele, niestety nie wymowny. Paromorgowy chłop w poszukiwaniu sprawiedliwości społecznej wyminał niejako nas, wyminał tych „ludowców”, którzy chcieli „na własną rękę” budować socjalizm w Godzianowie. Szukał i znalazł pomoc w Partii.

I dlatego musimy sobie — koledzy powiedzieć, że nasze wielkie akcje elektryfikacji, budowy domu ludowego, czy wreszcie spółdzielni produkcyjnej, to rezultaty rewolucji, zdobycia władzy przez proletariatu. Rezultaty przemian, które niejako otrzymaliśmy w powojennej Polsce od ich rewolucyjnych twórców.

Zaczynam 26-ty rok pracy społecznej na wsi. Nie żałuję przeszłych lat. Stanowią one niewyczerpane bogactwo doświadczeń, dostarczając nieustannie przykładów dla zrozumienia naszej drogi chłopów w sojuszu z robotnikami. Nie żałuję, bo przecież rodzi się jakby drugi raz, w nowej epoce, jakże jasno wyznaczającej dąwcom „Franusiom — spółdzielcom” — drogę do prawdziwej spółdzielczości.

Alto to nie znaczy, byśmy już zagadnienie sojuszu robotniczo — chłopskiego wyczerpali. Doszliśmy dopiero i to nie wszyscy jeszcze do etapu jego rozumienia.

Bo nie tylko się jakby drugi raz rodzimy, mamy w sojuszu rodzić nowe życie i bić się o nie, wspierając walczących, budujących i kierujących proletariatu.

Józef Mozga

JAN KOPROWSKI

NOWA DROGA

To nie stary przedwojenny gościniec, gdzie ci kurz zasypuje oczy, gdzie po deszczu obficie płynie woda brudnym krętym warkoczem i dzieci o jasnych czołach przez kałuże idą do szkoły.

To szeroka powojenna droga zbudowana przez robotników, żeby dzieci biec po niej mogły jak po równym kamiennym chodniku, żebyś idąc tą drogą wiedział to co wszyscy wokół myśla: że ta nowa droga nas wiedzie w przyszłość.

JERZY MILLER

WSPOMINAJĄ STARZY SDKP i Lowcy

JERZY MINICH

JÓZEFA BARJASZOWA

W dniu 21 czerwca 1905 roku przy barykadzie wznoszonej w poprzek ulicy Wólczńskiej, pod 175 numerem posesji — poblizu fabryki Schweikerta i o kilkanaście domów od fabryki Richtera, gdzie stacjonowało wojsko, panował gorący ruch.

Znoszono z okolicznych domów wszystko, co tylko się dało, wyciągano z wozowni wozy, beczki, ze stolarni meble, kozy i bele drzewa, z terenu fabryki Schweikerta żelastwo, prety, arkusze blachy i żelazne szyny, z niedawno wytyczonej jezdni wyrzynano brukowce i nazywano je na barykadę, która rosła

swego sumienia uczuć pańszczyźnianych. Ale jakże można się dziwić echem kazań księdza Szmidla z parafii św. Krzyża i pogłosom wystąpień pastora Gundelacha.

Schweikert, chociaż grzesznikiem i pokornym, nie był skory do ustępstw. Dopiero pod groźbą podpalenia magazynu zgodził się na przysięgę nie przyjmować do pracy zniechęconych majstrów, których wyrzuciliśmy sami, poza tym zgodził się wypłacić pobory za okres strajkowy. Natomiast jeśli szło o podwyższenie zarobków o 40 proc. dla najniższych uposażonych i zmniejszenie ilości godzin pracy z jedenaście i dwunastu na osiem, odmówił wyrażenia swej zgody. — Co to, to nie! — Wobec tego, zabarykado-

mu nie było pieniędzy i już od ósmego roku życia musiałem pójść do pracy zwykłą koleją losu dzieci robotniczych — tam w Niemczech, wiele i zobaczyłem, i wiele się nauczyłem. Tam przecież słuchałem dyskusji, w której zabierali głos towarzysze tej miary, co Róża Luksemburg.

Lata przebyte po więzieniach carskich i sanacyjnych nie zlamaly starego proletariata. Natychmiast po wyjściu na „wolność” nawiązywał kontakty z towarzyszami partyjnymi z S.D.K.P. i L., a później z K.P.P., aby walczyć o prawdziwą wolność, tę, o której pisało na sztandarach bojowych z 1905 roku. — My, towarzysze niemieckiego pochodzenia przylgnęliśmy do S.D.K.P. i L., przenikniętym w skroś duchem internacjonalizmu. A zresztą — znaliśmy życie. Robotnik — czy to polski, czy niemiecki, czy żydowski, jednakowo byli gnębieni przez kapitalistów — obojętnie jakiej nacji.

Tymczasem czas mijał z przerażającą szybkością. Z manifestacji na manifestację, z wiecu na wiec biegałem wówczas z energią swoich trzydziestu kilku lat. W ciągu trzech dni zniszczyliśmy wszystkie w mieście sklepy monopolu spirytusowego z zemsty za prowokację zarządcy monopolu w czasie „krwawej niedzieli”. My — S.D.K.P. i L.-owcy tworzyliśmy wówczas szereg swoich milicji obywatelskiej. Lecz porządku w mieście nie trzeba było utrzymywać. Nie zdarzały się ani kradzieże, ani napady rabunkowe, nie widywało się na ulicach pijanych. Wódka ze sklepów monopolu strugami płynęła do rynsztoków.

Nasza barykada przy ulicy Wólczńskiej wysokością sięgnęła pierwszego piętra. Każdy z nas ubrał się na własną rękę w siekiery, żelazne prety, we wszystko, co tylko wydało się nam użyteczne w starciach z dragonami. O, gdyby było dość broni palnej — inaczej by się potoczyły losy 1905 roku.

Pierwszy szturm dragonów stacjonujących u Richtera odparliśmy krwawo. Na cwałujących zbiorów posypał się grad brukowców, kobiety dzielnie nas wspomagały w obronie, wylewając z okien domów sąsiadujących z barykadą wiadra wrzątku. Ale w czasie następnego szturm — po trzydniowym wladaniu miastem, wyszli na jaw braki w budowie barykady. Na oko potężna i okazała, niepotrzebnie zawierala mnóstwo drzewa. Dragoni przyciągnęli do barykady beczki smoły i podpalił ją. Wówczas ogień zajął barykadę i zagroził okolicznym domom. Po pożarze okazało się, że barykada trzykrotnie zmalała. I jeszcze zanim kamienie zdążyły ostygnąć, szarżujący dragoni wdarli się w ulicę Wólczną.

Pewnego wieczoru w marcu, wraz z towarzyszką z schelblerskiego bielnika przekradłam się do ulicy Targowej, aż z okolic Bałuckiego Rynku. Ulice były ogołocone z przechodniów i każdy krok, już z daleka sygnalizując naszą obecność na ulicach — odbijał się głośnie echem. A szliśmy przedko, prawie biegać.

Obie byłyśmy młode i lekaliśmy się gniewu matek. A już najbardziej martwiłyśmy się gdy płakały.

Z matką układałam zajęcia tak, że gdy ona wychodziła do przedalnia — ja, po jedenastu i dłuższych godzinach pracy przy skracaniu obejmowałam opiekę nad domem. Jeżeli ojciec nie było, matka czekała dopóki nie wróci. I nieraz zdarzało się, że z powodu powodu opuszczała pracę. A pieniądze zawsze brakowało — gdyż wszyscy: ojciec, matka i ja w 1905 roku wielokrotnie strajkowaliśmy. I znowu zanosilo się na strajk.

Bielnik Scheiblera stanął, gdyż warunki pracy w bielniku były szczególnie uciążliwe. Robotnik pracował za pół darmo, jak zresztą wszędzie, a przecież zatrudniał swój organizm wyziewami chemicznymi. Ponadto bielnik, z woli dyrektora fabryki był miejscem zesłania socjalistów, a robotników niesocjalistów wręcał uciły socjalizmu. Jeśli tylko który robotnik był hardy — majstry chętnie przysyłali go do bielnika, tam miał zmknąć jak ptak w klatce z Księciem Młyna. Nie dziwne, że strajk był odpowiedzią na fabrykanckie szykany. Scheibler nie godził się ani na podwyżki płac, ani na skrócenie dnia roboczego. Lecz bezskutecznie starał się zwerbować lamistrajków.

Wszyscy robotnicy — a więc i moi rodzice żyli pod wrażeniem strajku w bielniku.

Ja już wówczas byłam robotnicą z czarną przeszłością. Za podburzenie do strajku w przedalniu Teodora Steigerta przy ulicy Anny, wciągnięto mnie na czarną listę. Z trudem, po wielu staraniach matki przyleciałam do Scheiblera, gdzie już także wyrobiłam sobie opinię robotnicy-socjalistki. Ukryć swe przekonania było trudno, gdyż wśród samych robotników NPR-owcy i endecy mieli wpływ — i o każdym objawie niezalegalności myśli donosiły dyrekcyi zakładów. Również i z tego powodu moja matka martwiła się co ze mną będzie, przewidując wszystko najgorzej.

W drukarni zakonspirowanej w warsztacie ślusarskim przy ulicy Zgierskiej, zapatrywałam się raz w tygodniu w ulotki i prasę, następnie przenosząc ją do Scheiblera. Tymczasem, w tamtym dniu dowiedziałam się, że drukarnię należy natychmiast likwidować, gdyż policja wpadła na trop naszej partii i aresztowania objęły także i tych towarzyszy, którzy wiedzieli o drukarni. Mogło się zdarzyć, że któryś siabsze-

go ducha, nie wytrzymał bicia mógł „wspać”.

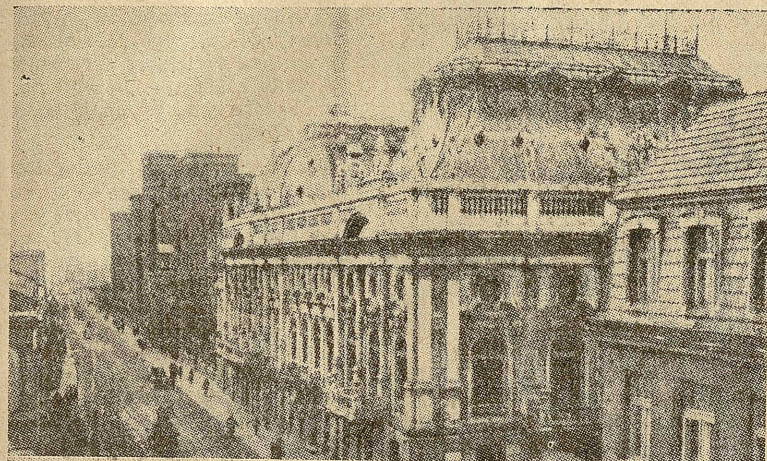
Nie było na co czekać. Obładowano nas — już nie ulotkami i prasą, ale cziokami, a ponieważ w drukarni znajdował się także magazyn broni, do teczek wspiwały się pełne garście nabojów.

To wydarzenie — podjęła dalej swą opowieść towarzyska Barjaszowa — wydało mi się niezwykle, jak na owe czasy. W końcu 1905 r., a szczególnie w początkach 1906 r., koczacy panoszyli się w Łodzi. Atakowali przechodniów, zwykłe to były robotnicy, wjeżdżając koniami na chodniki, siekąc napotkanych ludzi nahałkami, potracając konie.

A wśród robotników nie było już tej jedności, jaka ożywała akcje w

warzyszy — endecy kierowani przez dyrektora Kuncego, początkowo obrzucający prelegentów bryłami węgla, wrzucili ich pod kocioł. Skończyło się szczęśliwie na „ukoronowaniu” majstrów i lajdaków endekich. „Ukoronować” znaczyło w naszym języku po prostu obić. „Ukoronowanie” — inaczej zabandażowanie. Naza jutrz lub po kilku dniach, zależało to od stopnia pobicia — nie było końca śmiechom i porozumiewawczym szepotom, gdy białe, ukoronowane głowy pojawiły się w fabryce.

Przy którejś z przecznicy ulicy Głównej stacjonował świeżo przybyły z Rosji oddział wojska, a my — w pośpiechu, zamiast nadłożyć drogi i ulicę Pustą przedostać się do Tar-



Pałac Poznański przy ul. Ogrodowej (obok fabryka Poznańskiego).

w oczach, tarasując dwudziestokilometrowej szerokości ulicę. Budowę tę — wspomina mój rozmówca, towarzysz Jerzy Minich — wznosiliśmy przy świetle gwiazd.

Nikogo nie trzeba było do roboty przynaglać, chociaż nikt nam za tę robotę nie płacił, a jeśli — to tylko kulka w łeb, lub latami więzienia, zsyłki. Barykady budowano po całej Łodzi, w setkach punktów — to też żandarmi i carscy żołdacy zrazu potracili głowy. Jednakże dragoni stacjonujący u Richtera przy Radwańskiej, aczkolwiek także ogupiali i zdeorientowani, nie odważyli się wyjść na ulicę, przecież strzelali ku naszej barykadzie z dachów fabryki richterowskiej. Tak więc, zanim barykada mogła spełnić swą obronną rolę, już polała się krew jej budowniczych.

II

Do wznoszenia barykady porwano się po napasliach wojska na tłum poszukujący zwłok towarzyszy Żydów zabitych 18 czerwca. Wola uczczenia ich bohaterstwa śmiercią uroczystym pogrzebem była powszechna. Odruch ludu był żywiołowy, gniew nieobliczalny w skutkach.

Od czasu pierwszego mają nastroj w mieście był rewolucyjny. Przeciwnie, na ilość strajkujących przekraczała liczbę 20 tysięcy ludzi. Nawet w dniach nieświątecznych widać było tu i ówdzie w mieście grupy robotników nieraz po dwustu i trzystu, jak udawali się w spokojniejsze dzielnice miasta, na wiece organizowane przez trzy ówczesne rewolucyjne partie Łodzi. Właściwie miasto wyglądało tak, jakby w nim nie było żadnej władzy. Dopiero w niedzielę po Zielonych Świątkach mołoch żandarmski zaczął szaleć. Lecz lud łódzki, który zdążył przywyknąć do nietykności, nie ulął się, wprost przeciwnie — ogarnęła go wściekłość.

O ile się nie mylę — wspomina towarzysz Minich — w Łodzi zawiązywały się wówczas komitety rewolucyjne, złożone z aktywistów partyjnych, których rola sprowadzała się do czuwania nad porządkiem w mieście i do kierowania walką.

Robotnicy Schweikerta już w dniu 19 czerwca wzięli się do oczyszczania fabryki ze zdajców i ślusów fabrykanckich. Po napasliach na wracających z majówek w Łagiewnikach robotników, utworzył się w fabryce Robotniczy Komitet, w którego skład wchodził jako członek S.D.K.P. i L. Żyliśmy wtedy jak w transie, jak podczas pięknego snu, wierząc mocno, że nie ma siły, która by nam z rąk mogła wyrwać zwycięstwo. Na wstępie rozpoczęliśmy sądzić naszych dyrektorów i majstrów w obliczu całej, zgromadzonej na podwórzu przed tinalnią, żalagii. Gdy zapadał wyrok ujemny — wykluczaliśmy sądnego lajdaka z naszej społeczności. Denat, zerwany silnymi ramionami z podwyższenia, na którym tłumaczył się ze swych sprawek, w przeciągu kilku sekund siedział już w taczce i po chwili lądował za bramą fabryki.

Gwizdami i szalonymi śmiechami żegnała ich żaloga fabryczna, gdy poturbowani uciekali za bramę, wydani na pastwę urwisów i dzieciarni. Następnie poświęciliśmy czas panu Schweikertowi, który w czasie sądu, jak gdyby nigdy nic, rzekomo spokojnie pracował w kantorze, nie odważając się wychylić swego nosa choćby przez okno. — Towarzysz Minich zatrzymał się dla nabrania oddechu.

— A że Schweikertem — wspomina dalej — nie poszło łatwo. Wiele z robotników odczuwało — diabła więc dlaczego — szacunek dla „starego”. Jeszcze w nich pokutowała duch niewolniczy, jeszcze nie wyrzabili ze

Większość wspomnień Tomasza Michalskiego obraca się wokół rewolucyjnych dni 1905 roku. Gdy dzisiaj wspomina wspaniałe miesiące rewolucji robotniczej — pomimo podeszłego wieku, bo liczy sobie 71 lat — prawie nic z jego pamięci nie uleciało. Mówi, że wówczas takich jak on, w szeregu S.D.K.P. i L. było wielu, że stopień uświadomienia politycznego wśród towarzyszy partyjnych był wysoki i dziwi się, że można przypuszczać, iż on mógłby coś zapomnieć. — Był to piękny rok nadziei. Ale do czasu. Nie chcę ograniczać opowieści towarzysza Tomasza Michalskiego do relacji li tylko z dni czerwca-wych 1905 roku. Wprost przeciwnie — ciekawi mnie on sam, jego droga do partii prosta i nieskomplikowana, podobna do tysięcy również prostych i nieskomplikowanych dróg naszych towarzyszy, którzy na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku w mrokach powszechnej ciemnoty ujrzeli światło socjalizmu.

A towarzysz Michalski ma o czym opowiadać. Wiele widział, wiele przeżył, wiele przecierpiał. — Jako młody chłopiec przybył z Jeżowa do Łodzi — owej Ziemi Obiecanej, miasta pęczniącego dostatkiem magazynów i pełnią i dosytem secesyjnych pałaców fabrykanckich. Musiał za kopiejkę zaoszczędzone na chlebie wkupić się w łaski drobnomieszczańskiego wyzyskiwacza majstra-sklepikarza.

Mieszkał przy ulicy Zielonej, na Bałutach, w drewnianym — w jednym pokoju na kilkanaście osób. Rano budził go wracający z nocnej zmiany robotnik, aby na resztę dnia zająć łóżko. Przysieranie głodem było czymś stałym. — Z owych lat — opowiada towarzysz Tomasz — najlepiej pamiętam ciągle uczucie niewyspania i głodu.

Tymczasem nadchodzi 1905 rok. Z ust do ust krążyły najróżniejsze wieści. Nieraz zdarzało się, że przynosili je rosyjscy szeregowi żołnierze. Podobno proletariaty rosyjski rusza się przeciwko carowi samodzierzcy.

TOMASZ MICHALSKI

Po długotrwałej zimie niedza robotników przechodziła wszelkie ludzkie wyobrażenie. Ludzie zaczęli szemrać, wpięrami nieśmiało, potem coraz śmielej, aż wybuchnęli w ogromnych manifestacjach styczniowych, wiążąc swój ruch z ruchem bohaterstwa proletariatu piotrogadzi.

Przy kuchniach ulicznych zawrzał. Ale pierwsze okrzyki: Precz z repat! My chcemy zarobków! — w ciągu niewiele dni zahuczały gniewnym hasłem: Precz z caratem! Towarzysz Tomasz Michalski już nie błąkał się poomacku. Odnalazł drogę, po której przez całe życie będzie kroczył: S.D.K.P. i L. — Socjal-Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy.

II

W czerwcu Tomasz Michalski wyteńpiał pracować, zajmując się sprawami partii. Olsnieniem dla niego były pierwsze brzuszy i książki o światopoglądzie materialistycznym. A w warsztacie szewskim przy ul. Pomorskiej pod numerem pierwszym potajemnie wypożyczano rozmaite druki przywożone z kordonu. — Tam — wspomina towarzysz Michalski — przed laty bywała Róża Luksemburg. Trzeba pamiętać, że wpiwy S.D.K.P. i L. obejmowały przede wszystkim rzemieślników. Dopiero w 1905 roku nasza organizacja ogarnęła masę.

My — opowiada swoim rozważnym głosem towarzysz Tomasz — nie oddziailiśmy udziału na zewnątrz w wiecach, gieldach, czy manifestacjach od pracy pośród nas samych. Naszym S.D.K.P. i L.-owców szewców dążeniem było stworzyć Związek Zawodowy. I na tej drodze zaczęliśmy się z łódzkimi proletariuszami — walce ekonomicznej cierpliwie nadając charakter polityczny. — Największym moim świętem było, gdy majstry, zmuszeni przez nas, poddali się i pod groźbą użycia siły pozakładali warsztaty. Od tamtego czasu za parę obuwia otrzymywaliśmy, nie jak dotychczas, 45 — a 125 kopiejek.

Poprzedzać na sztorzeniu Związku było by śmieszne. Najlepiej wiedział o tym Teofil Furmański,

stary doświadczony towarzysz jeszcze do Związku Robotników Polskich. Mawiał on nam o podziale społeczeństwa na klasy, o prawach ekonomicznych i zachęcał do dalszej walki. — Jeśliśmy zwyciężyli — to tylko po części jest nasza zasługa. Zwyciężyliśmy, bo rośnie proletariaty — łódzki, tak jak i warszawski, częstochowski, sosnowiecki. Ba — gdyż rośnie proletariaty światowy. Niechno by zawiódł — a znów by nas panowie magnaci dusili za gardła. — I z całą siłą młodzieńczego przekonania wrośliśmy w ogólną sprawę proletariatu.

III

W poniedziałki tysiące ulotek przyniesionych z niedzielnych majówek kolportowaliśmy po mieście. Ten i ów spośród nas już i sam przemawiał, sam taką majówkę prowadził. W łasku Schmidkego, graniczącym z majątkiem Heinla, na terenie obecnego Marysina, napotykało się grupy po stu, po dwustu robotników, którzy odprawiali dziwaczne nabożeństwa pod gołym niebem. Ktoś, zwykle nieznamy partyjniak, przemawiał do siedzących na trawie robotników i robotnic. Ale — nie rzadko, gdy mowa przemawiała, a raczej marzył, jak to kiedyś będzie — ży ludzom stawały w oczach.

W początkach czerwca, po Zielonych Świątkach, przeżyłem wraz z wieloma towarzyszami jedną z większych manifestacji łódzkich. W niedzielę — pamiętam jak dzisiaj — po masowce w lesie łagiewnickim uformowaliśmy się w pochód. Z lasu skierowaliśmy się w stronę klasztoru i następnie drogą łagiewnicką podążyliśmy ku miastu. Na rogu Młynarskiej i Zawisz zdyśczyniony pochód miał na celu jedynie zamanifestowanie swej siły i nigdy nie zgodziłbyśmy się na jakiegokolwiek awanturnicze wystąpienie ze strony samych towarzyszy. Te zawsze były dziełem burżuazji. I to z balkonu domu Monopoli Spirytusowego padły pierwsze strzały. Czy w tłum, czy w powietrze — trudno o tym dzisiaj wyrokować. Lecz wtedy do lu-

dzi, jako pierwszy urzany przeciwnik, zaczął strzelać żandarm Iwan Prymireczko. Natychmiast i dragoni zaczęli szarżować tłum, tratując koniami biorących udział w pochodzie — w tym kobiety i dzieci. Nahałkami, zakończonymi obwianymi kulkami, uderzając z rozmachem obcinali uszy, wybijali oczy, zęby. Nieubrojeni robotnicy nie zdołali powstrzymać naporu wojska i żandarmierii i rozbiegli się, pozostawiając na placu dzieściu zabitych i wielu rannych. Zemsta za masakrę dosięgnęła jedynie żandarm Prymireczkę, którego zastrzelili nasz bojowice.

Dwudziestego, we wtorek, odbył się pogrzeb zabitych robotników Polaków. I w tym pogrzebie my, S.D.K.P. i L.-owcy wzięliśmy udział. Wzięliśmy udział, pociągając za sobą ogół robotników Łodzi. Uczestnicy demonstracyjnego pogrzebu podjęli potem w zamęcie za wystąpienie zarządcy monopolu w czasie niedzielnej manifestacji, akcję zmierzającą do niszczenia sklepów spirytusowych. — Tak — ale ani kupa alkoholu nie została wypita. Czuwaliśmy nad tym, aby spirytus wiano do rynsztoków.

Lecz dopiero dwudziestego pierwszego czerwca, w środę, gdyśmy chęć pogrzebać zabitych towarzyszy Żydów, daremnie szukali ich ciał po całym mieście, — dopiero wtedy odczuliśmy własną potęgę. Działaliśmy wtedy w jedności z robotnikami P.P.S.-u i Bundu. Ilość manifestantów sięgnęła liczby siedemdziesięciu tysięcy. Miasto poprzeczniła barykada.

— Ja zaś — kończy swe opowiadanie towarzysz Tomasz — w starciu z dragonami przy ulicy Pustej i Karola zostałem ciężko ranny...

×

Po kilku miesiącach burżuazja wzięła się na sposób, aby skruszyć naszą jedność. Pod batutą fabrykancką powstały rozmaite związki robotników chrześcijan, „Związki Żółtych”, „Związek Jedność”. I Łódź rozzerwał ogień walk bratobójczych.

— Ale przecież? W czerwcu 1905 roku nabrałem niezachwianej pewności i wiary w dzień dzisiejszy.

Stare Bałuty

1905 roku. Od momentu upadku barykady czerwcowych, walki bratobójcze rozłożyły się w niespotykaną siłą. Organizowały się przy pełnym poparciu moralnym i finansowym kapitalistów oraz endekich związków robotniczych, obsadzonych prowokatorami i szpiclami fabrykanckimi.

Część otumanionych dała się złowić na przynętę lepszej pracy i wielokultej nagrody, która z pewnością nie minie prawomysłowych robotników.

Reakcyjny kler zwołał wszelkie strajki, groził pięknem i karami dożensnymi, za socjalizm. Domy parafialne stały się siedziskiem denuncjatorów. Wsławił się księża pogrom-szczyzy Wyrykowski, Bakalarczyk, Schmidel zachęcając pamięć o uczciwych, księżach, a przecież byli i tacy, którzy w 1905 roku prowadzili pogrzeby zabitych przez policję robotników, choć wiedzieli, że każdy taki pogrzeb zamieniał się w demonstrację polityczną.

Nawet u Scheiblera endecy mieli swoje wpływy. Kiedyś dwóch prelegentów SDKPiL z dzielnicy Wodnej usiłowało przemówić do zebranych w kotłowni robotników i omal — gdyby nie pomoc części świadomych to-

gowej, zdecydowaliśmy się nieostrożnie przejść obok posterunku.

Gdy mijaliśmy wartę — akurat z bramy wychodzili trzej żołnierze. — Okazało się, że szli także ku Targowej. My szłyśmy — oni szybciej. Opadli nas strach. Nie mogąc biec, bo teczki były ciężkie i podczas gwałtownych poruszeń cziokni chęśli jak grzechotki — pozwoliliśmy się dogonić.

Żołnierze nie mieli nas zamiaru przestraszyć, ani rewidować. Po prostu chcieli się z nami pożnać. A spotrzegając w naszych rękach teczki — nawet byli skłonni pomóc nam je nieść. Gdy któryś z nich wyciągnął rękę, ja szarpnęłam teczkę i wtedy wydarzyło się niesześciście. Sznurki pękły, i cała zawartość teczki rozsypała się po bruku.

Nie znałam języka rosyjskiego, ale to co mówili rozumiałam bez trudu. Dwaj żołnierze twierdzili, że należy puścić nas wolno, trzeci uważał, że należy oddać nas policji. — Owszem — nie jest szpionem — i nie jego rzecz wydawać cywilów — ale gdy wie, że kule, które przenosimy mogą z powodzeniem utkwic w jego pierści.

Czułam jak otucha wstępuje w moje serce. Skoro gadają — źle nie będzie. Uklekam, aby pozbierać blyszące na bruku cziokni.

Żołnierze po naradzie podprowadzili nas do rynsztoku i zażądali abyśmy teczki wrzucili w cuchnące bajoro.

Szamocąc się z żołnierzami — nagle — usłyszałam stukot podkutych obcasów. Z ulicy Anny wyszło kilku żandarmów prowadzonych przez jadącego na koniu oficera. Prowadził towarzysza, znanego mi z dzielnicy ze spotkań na gieldach, którego twarz była straszliwie zmasakrowana. Ręce miał zakute. Kroczył ślaniając się na nogach — popychany kolbą. — Czyżby nas poznał? Nie wiem. Lecz w chwili, gdy nas mijał wyprostował się dumnie i podniósł opuszczoną na piersi głowę.

Żołnierze zaczęli się śmiać i swobodnie, jak gdyby nigdy nie ze sobą gawędzić, z pewnością po to, aby odwrócić od nas uwagę żandarmskiego patrolu.

I czy przejął ich widok więźnia, czy też ogarnęła litość — dość, że przestali się nami zajmować.

Zdążyłam zapląć teczkę i rzucić ją głośnie do oświadczenia oddaliłam się, dopiero przy ulicy Targowej zrównując się z towarzyszką z bielnika. Nasłuchując, czy kto nas nie śledzi weszliśmy do domu pod numerem 47, gdzie w mieszkaniu tkacza pluszewego od Flinstera polecono nam złożyć teczki. Odetchnęłam.

×

Rodziców nie zastałam w domu. Ojciec wraz z matką poszli na Przedalnią, gdzie w pobliżu domków rodzinnych, na wiecu radzono jakie zająć stanowisko wobec lokautu.

Podający się za filantropa Karol Scheibler za sprzeciw w łamaniu strajku w bielniku, jednym pociąganiem pióra skazał na ostateczną nędzę, głód i bezdomność przeszło dziesięć tysięcy ludzi z innych dzielnic fabrycznych.

W tłumie z trudem, bo było ciemno — na Przedalnią nie palily się latarnie — odnalazłam swą matkę. Na mój widok wybuchnęła szloch. W tym dniu, w marcu spaliśmy my, schelblerscy na dno nędzy człowieczej.

Codziennie, przez osiem tygodni tysiące robotników wędrowało na wieś, gdzie na przednówku głód także się rozrył, po to, aby przynieść choćby kartoflane obierki.

